Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 24 — Niedziela, dnia 13 czerwca 1926 roku — Rok 2

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 85

Telefon Nr. 45-50
Godziny przyjęć: od 5—7 ppoł
prócz niedziel i świąt

Konto w P. K. O. Nr. 63,353.

PRAWDA

Przedstawicielstwa Redakcji i Administracji:
w WARSZAWIE: Alfred Wilecki, Wilcza 16, tel. 305-07
w POZNANIU: Jan Kozubski, Skarbowa 7, tel. 28-58

Cena egzemplarza 30 groszy

W prenumeracie z dostawą do domu 4 zł. na trzy miesiące

Konto w P. K. O. Nr. 63,353

NIEZALEŻNY ORGAN TYGODNIOWY

Treść numeru

Sprawy tygodnia

NOWY RZĄD.

Jak przewidywano, nowy rząd, powołany w drodze konstytucyjnej przez Prezydenta Rzeczypospolitej, jest prawie bez zmian tymczasowym rządem prof. Bartla, powołanym po przewrocie warszawskim przez Marszałka Rataja jako zastępcę Prezydenta Rzeczypospolitej. Zmiany nastąpiły tylko na dwuch stanowiskach: ministrem skarbu zamianowany został p. Czesław Klarner, a ministrem przemysłu i handlu p. Eugenjusz Kwiatkowski.

Ale rząd obecny nietylko że w swoim składzie osobowym nie różni się od poprzedniego rządu prof. Bartla — ale zachował także i charakter rządu tymczasowego.

To trzeba podkreślić i uprzytomnić sobie, gdyż inaczej bardzo łatwo o mylną opinję i fałszywy osąd przewrotu, dokonanego zbrojną siłą. Jeżeli bowiem zapomnimy, że obecny rząd prof. Bartla jest w dalszym ciągu rządem tymczasowym trudno będzie oprzeć się natrętnej myśli, iż „góra zrodziła mysz"— jak już twierdzi jeden z organów prasy warszawskiej, dowodząc, że

„...nie można dalej łudzić się. Przez kilka dni lała się na ulicach Warszawy krew bratnia, a państwo całe drżało w posadach poto, aby po trzech tygodniach narad powstał rząd zakłopotania, rząd bez wyraźnego oblicza".

Pomimo, że przez szereg tygodni wpajało się w opinję przekonanie,

„...że zapowiadany gabinet będzie zaczątkiem nowej ery w dziejach państwa polskiego".

Dlaczego gabinet obecny prof. Bartla trzeba uważać w dalszym ciągu za tymczasowy?

Bo jego nominację poprzedzały ożywione rokowania, których zaledwie głuche odgłosy przedostawały się do opinji publicznej. Rokowania te prowadził głównie marsz. Piłsudski w ścisłem porozumieniu z Prezydentem Rzeczypospolitej. Prof. Bartel tak dalece akcentował swoje desinteressement, że prawie natychmiast po złożeniu dymisji gabinetu tymczasowego wyjechał do Lwowa, nie dla zakonspirowania jakichś rokowań, lecz dla likwidowania letniego semestru w swoim wydziale politechniki. Polityk, który — wprawdzie z zastrzeżeniem — ale przyjął mandat formowania rządu, zamiast po naszemu od południa do rana (przedpołudniem politycy polscy nie pracują) konferować z kandydatami i politykami — najspokojniej wyjechał sobie z Warszawy i jeszcze spokojniej egzaminował swoich słuchaczy i podpisywał indeksy. Czy to nie jest jaskrawym dowodem, że „góra zrodziła coś większego niż mysz"? Że najważniejsze sprawy państwowe przestały być przedmiotem obmierzłych targów, że stały się natomiast przedmiotem indywidualnej decyzji odpowiedzialnego czynnika, który n. b. znajduje chętnych, ofiarnych i bezinteresownych wykonawców.

Prof. Bartel wrócił we wtorek rano do Warszawy, w południe dowiedział się, jaki będzie skład gabinetu, oświadczył gotowość przewodniczenia temu gabinetowi i wieczorem już rząd miał dekrety Prezydenta. Wobec nikogo żadnych zobowiązań nie zaciągał, nikomu nic nie obiecywał, nie ciążą na nim żadne tajne układy, które z góry w pewnych sprawach wiązałyby go. Mamy na myśli zobowiązania wobec stronnictw politycznych i grup społecznych, gdyż te są najniebezpieczniejsze dla państwa. Zobowiązania wobec osób, co do których złej woli niema narazie żadnych danych i które w dodatku ponoszą lwią część odpowiedzialności za rządy państwem — wątpliwości żadnych dotychczas budzić nie powinny.

Rokowania prowadził marsz. Piłsudski z różnymi osobistościami wybitnemi w państwie i społeczeństwie. Jako kandydatów do różnych tek wymieniano prof. Jerzego Michalskiego, p. Steckiego, Meysztowicza, Radziwiłła, Artura Śliwińskiego, Poniatowskiego, Moraczewskiego, Zolla, Krzyżanowskiego, Władysława Grabskiego, Estreichera, prof. Kalinowskiego, Bobrzyńskiego.

Chodziło więc o ludzi, a nie o stronnictwa — była aż nazbyt widoczna tendencja powołania do rządu ludzi wybitnych, zdolnych, reprezentujących pewne uznane programy państwowe. Jeśli rokowania te nie dały jeszcze konkretnych wyników, to dziwić się temu nie należy. Żaden z tych ludzi nie jest gotowym na rozkazy komendanta peowiakiem ani strzelcem. A Piłsudski żądał w razie przyjęcia współpracy, aby kandydat zlikwidował wszystkie swoje stosunki partyjno - polityczne, żądał nawet złożenia mandatów poselskich i senatorskich. Trudno spodziewać się, aby takie decyzje podejmowali ludzie w ciągu kilkudziesięciu godzin, zwłaszcza, jeżeli prawie każdy z nich dotychczas z wielką rezerwą i wielkim krytycyzmem odnosił się do osoby Piłsudskiego, jego działalności, otoczenia i sfer na których się rzekomo opiera. Życzliwość, przychylna neutralność nie oznaczają jeszcze zupełnego oddania. Uprzedzenia, a chociażby tylko długoletnie mylne opinje, w jednym dniu nie znikają. A wreszcie tak nagłe zmiany musiałyby budzić nieufność.

Tymczasowość rządu prof. Bartla jest uzasadniona i żadnych wątpliwości budzić nie może. Szkodliwą dla interesów państwa nie jest, gdyż nie jest tymczasowością dla braku planu i programu, ale spełnia doniosłe zadanie. Należy bowiem spodziewać się, iż rząd tymczasowy prof. Bartla przedstawi społeczeństwu konkretny już plan naprawy Rzeczypospolitej, aby nikt już nie miał żadnych wątpliwości, dlaczego polała się krew w Warszawie.

Wówczas z pośród tych, którzy przy tym planie się opowiedzą, wybrani będą najlepsi, aby go wykonać.

* * *

NIEBEZPIECZNE EWENTUALNOŚCI.

Premjer Bartel powiedział kilka dni temu w rozmowie z dziennikarzami, że do 31 maja był optymistą, teraz jednak ma pewne obawy, czy falujące nastroje wśród mas bez żadnych komplikacyj się uspokoją. Obawy słuszne i świadczące o wielkiem poczuciu odpowiedzialności i o przezorności, chwalebnej i godnej uznania u szefa rządu. Optymizm w tym wypadku mógłby okazać się szkodliwym.

Przewrót, dokonany w Warszawie, spowodował nietylko zmiany, widoczne dla wszystkich, ale stał się także przyczyną głębokich zmian, ukrytych dla oka przeciętnego obserwatora. A jeśli nawet zmian tych w rzeczywistości za sobą nie pociąga, to w każdym razie wzbudza nieufność i wywołuje przygotowania dla ewentualnej kontrakcji w razie potrzeby.

Mamy na myśli dziedzinę polskiej polityki zagranicznej. Z cytowanych już w „Prawdzie" głosów prasy zagranicznej i z głosów, publikowanych w prasie codziennej, widocznem jest, że rząd moskiewski bynajmniej nie jest zachwycony odzyskaniem decydującego wpływu na tok polityki polskiej przez marsz. Piłsudskiego. Według londyńskiego „Timesa" źródłem pogłosek, sprowadzających akcję marszałka do pobudek materjalnych, jest Moskwa, a Cziczerin autorem plotki o angielskim złocie na cele przewrotu w Polsce.

Przewidujący, ostrożny i zręczny dyplomata, jakim jest Cziczerin, z pewnością nie ogranicza się w swej akcji, dążącej do zdepopularyzowania marszałka w społeczeństwie polskiem, tylko do szerzenia plotek, rozumiejąc że szpilka nie jest bronią w tym wypadku skuteczną. Wobec nastrojów, dotychczas istniejących w Wielkopolsce, inny rodzaj skuteczniejszej taktyki narzuca się sam przez się.

Nie jest przeto wykluczone, że będą czynione wysiłki utrzymania podnieconego nastroju w masach, które oczekiwały jakichś doraźnych, grubych efektów i czują wobec ich braku pewien zawód. Wypadki sporadycznych niepokojów po wsiach i na prowincji, niezupełnie wyjaśnione katastrofy kolejowe i szereg drobniejszych wypadków, pozwalają domyślać się w jakim kierunku pójdą te wysiłki.

Anglja z pewnością nie posyłała złota do Sulejówka na sfinansowanie akcji marszałka, ale z taką samą pewnością nie można twierdzić, czy autor tej plotki nie posyła złota do Warszawy na sfinansowanie różnych tajemniczych wydarzeń ostatnich tygodni. W każdym razie przypuszczenie takie nie jest pozbawione logicznych podstaw.

Jeśli bowiem udałoby się różnymi aktami utrzymać podniecenie w tłumach, to przy równoczesnej zaciekłej i ślepej na wszystko kampanji prasy prawicowej, zwłaszcza w Wielkopolsce przeciw Piłsudskiemu, spokój w Rzeczypospolitej i gładki a pomyślny rozwój wypadków, mogących wyprowadzić kraj z obecnego chaosu i trudności, byłyby zakwestjonowane.

Smutnem jest, że możliwości takiego niebezpieczeństwa tymczasem nie chcą widzieć ci, którzy zwykle pierwsi w każdym, najnaturalniejszym nawet zdarzeniu, dopatrywali się moskiewskiego autorstwa i wpływów. Tem samem bowiem, jeśli taki plan istnieje, a dziwnem byłoby, gdyby nie istniał, łatwo bardzo sami stać się mogą nieświadomem narzędziem ręki, której obecność małego palca wszędzie podejrzewali a całej wraz z ramieniem u siebie dojrzeć nie chcą.

Ogłoszenie stanu wyjątkowego w Wielkopolsce nie jest skierowane przeciw żywiołom narodowym jako takim, ale dla unieszkodliwienia fatalnych a bardzo łatwo możliwych skutków obecnego ich zaślepienia.

* * *

BILANS.

Miesiąc temu, w oczekiwaniu programowej deklaracji rządu posła Witosa, wskazaliśmy na zaniedbany dotychczas przez wszystkie rządy obowiązek dokonania sumiennego rachunku najniezbędniejszych potrzeb naszego państwa i najmniejszej nie ulegających wątpliwości dochodów.

Zanim taki rachunek nie będzie sporządzony i sprawdzony, czy przez Sejm, czy przez obszerne grono rzeczoznawców, płonne są wszelkie wyliczenia budżetowe, gdyż pozostaną tylko martwymi cyframi na papierze, pozbawionymi łączności z systemem gospodarczym i wpływu nań. Dopóki bilans taki nie zostanie zrobiony, nie wolno zajmować zdecydowanego stanowiska ani wobec opinji, twierdzącej, że bez pożyczki zagranicznej nie opanujemy trudności i że powinniśmy prosić o nią i zgodzić się nawet na warunek kontroli gospodarczej, ani wobec opinji, głoszącej, że damy sobie radę bez pomocy obcej i własnymi siłami pokonamy trudności gospodarcze i budżetowe.

W obecnym stanie rzeczy z taką samą pewnością wolno twierdzić, że zwolennicy pożyczki zagranicznej nawet z warunkiem kurateli, kierują się pobudkami natury politycznej i w ewentualnej kurateli spodziewają się sprzymierzeńca dla osiągnięcia swych politycznych celów, jak i to, że głosiciele hasła własnych sił są ludźmi, pozbawionymi szczypty zdrowego rozsądku, gotowymi wtrącić kraj w przepaść zguby, gdyby powierzono im władzę.

Błąkamy się w ciemnościach: nie jesteśmy zgodni jakie jest minimum rozmiarów funkcji naszego państwa i aparatu naszej państwowości i ile to minimum musi pochłaniać środków pieniężnych, ani nie wiemy, ile przy obecnym stanie gospodarczym wolno nam bez szkody dla jego rozwoju żądać tych środków od społeczeństwa i w jakiej formie najpraktyczniej i najbardziej celowo środki te pobrać.

Najpierw całkowite wyjaśnienie tej sprawy a potem konkluzje.

Być może, że przez rok lub dwa przyjdzie nam pożyczką uzupełniać braki budżetowe, aby nie obniżać prestiżu państwa naszego niedostatkiem i nie narażać Rzeczypospolitej na niebezpieczeństwo z powodu takiego niedostatku, być może, że po przeprowadzeniu sumiennego rachunku pożyczka na cele budżetowe okaże się zbyteczną i że potrzebna będzie tylko na stworzenie rezerwy, na wypadek, gdyby coś w rachunku nie dopisało.

To wszystko musi być wyjaśnione. Prof. Kemmerer jedzie do Polski; to autorytet, który wobec świata ścisłość i prawdziwość takiego rachunku mógłby stwierdzić — a na takiej podstawie możemy traktować o pożyczkę — jako państwo, które ma wszelkie widoki szybkiego rozwoju, a tylko chwilowo znalazło się w pewnych trudnościach, a nie jako masa upadłościowa, która za sanację musi godzić się na wszystko, nawet na likwidację takich swych części składowych, które likwidator wybierze, choćby się kierował przejrzystym własnym lub czyimś obcym interesem.

Myśl nasza została podjęta przez szereg organów prasy — oby znalazła dostęp tam, gdzie dzisiaj spoczywa prawo decyzji.

* * *

GŁOS DMOWSKIEGGO.

Po raz drugi po wypadkach warszawskich zabiera głos p. Roman Dmowski. Pierwszy raz kategorycznie wystąpił przeciw irryden-

cie wielkopolskiej, domagającej się autonomji dla całego obszaru b. dzielnicy pruskiej, zajmując poza tem krytyczne stanowisko wobec dzieła dokonanego w Warszawie.

Obecnie opublikował artykuł, będący niejako rachunkiem sumienia w imieniu stronnictwa, które reprezentuje, a raczej w imieniu całego odłamu społeczeństwa, gdyż Dmowski nie mieści się w ramach Związku Ludowo - Narodowego i bezpośrednio nigdy nie brał czynnego udziału w posunięciach taktycznych tego stronnictwa.

Zdaje się, że nie będzie zbyt niewłaściwem porównanie, że stosunek Dmowskiego do Związku Ludowo - Narodowego jest taki sam, jakim wydawał się być stosunek Piłsudskiego do „Wyzwolenia" czy „P. P. S.".

W każdym razie jeden i drugi nie zadaje sobie trudu ukrywania swej opinji o wartości środowisk, z którymi ich solidaryzowano.

Pisze więc Dmowski o wytworzeniu się typu

„polityka, biegłego w układach kompromisowych, paktach przeznaczonych do oszukania strony przeciwnej, w szantażu nawet, ale w chwilach trudnych, połączonych z niebezpieczeństwem osobistem, zachowującego się, jak mysz pod miotłą".

A dalej

„W armji i w biurokracji odziedziczyliśmy po obcych państwach wielu ludzi, którzy przedstawiać mogą wartość o tyle, o ile czują za plecami mocne oparcie i głowy, które za nich myślą. Tymi ludźmi zmuszeni byliśmy poobsadzać wysokie, odpowiedzialne stanowiska i napróżno oczekiwać od nich, że będą umieli stać na własnych nogach.

Większej niezaradności, braku wszelkiego planu, wszelkiej koordynacji myśli i czynu, jaki się okazał w chwili zamachu w rządzie, a zwłaszcza wśród otaczających go generałów, trudno sobie wyobrazić. Okazało się, że ludzie na najodpowiedniejszych stanowiskach w chwili poważniejszego niebezpieczeństwa nie umieją poprostu myśleć.

Byli ludzie, którzy nie stracili głowy i zdolności do czynu, było wielu nawet takich, którzy zachowali się świetnie, ale na stanowiskach niższych, mniej odpowiedzialnych. Znaleźli się tacy, co umieli wziąć na siebie odpowiedzialność za niedołężnych zwierzchników".

A wreszcie kwintesencja wywodu — już uderzająco przypominająca opinje, głoszone przez Piłsudskiego i jakby z myślą o nim wypowiedziana:

„Trzeba męstwo, umiejące zachować przytomność umysłu i zimną krew, w najtrudniejszych chwilach postawić ponad wytrawność gęby i biegłość w konszachtach. Trzeba więcej cenić poczucie odpowiedzialności i dyscyplinę, niż elokwencję w bezpłodnych dyskusjach

Wniosek z tego może być tylko jeden: Jeśli Dmowski wraca do czynnej polityki, jeśli pojawi się na widowni, to z wszelką pewnością nie w roli wodza wojującej z Piłsrdskim opozycji.

Wspomnienie.

Było to bardzo dawno, bo jeszcze za moich studenckich czasów w Zurichu. Wyszedłem pewnego poranka na Universitätstrasse i widzę z daleka kolegę Bakardżejewa, Bulgara, który wywija nad głową gazetą i daje mi znaki, że stało się coś ważnego. Mówiliśmy z nim zwykle po rosyjsku, gdyż ze wszystkich języków, któremi moglibyśmy się porozumiewać, tym każdy z nas władał najlepiej. Gdy się zbliżyłem, Bakardżejew z wielką radością zawołał:

— Znajete, znajete, knazia wignali.

Z „Neue Zurcher Zeitung", którą właśnie trzymał w ręku wynikało, że spiskowcy bulgarscy zrzucili z tronu Aleksandra Batenberskiego i wywieźli go do granicy rumuńskiej. Bakardżejew nie posiadał się z radości. Dowodził wymownie i logicznie, jak znakomite skutki będzie miał rzeczony fakt dla Bulgarji, dla świata, a szczególnie dla socjalizmu. Niewiem, jak tam jest dzisiaj, ale za moich czasów wszyscy Bułgarzy, zwłaszcza w Szwajcarji, byli skrajnymi socjalistami.

Po niejakim czasie gazety doniosły, że Batenberg powrócił do Bulgarji i zasiadł znowu na stolcu książęcym. Pomyślałem sobie zaraz, że musi to być straszny cios dla Bakardżejewa, że ujrzę go w przygnębieniu moralnem, jeżeli nie całkiem w rozpaczy. Nic podobnego. Mój Bakardżejew znowu się radował nieopisanie, dowodząc bardzo mądrze, jak błogosławionym wypadkiem jest nowy przewrót.

W kilka dni potem przyszedł numer kurjerka z niedzielnym feljetonem Prusa. Żałuję, że nie mogę przytoczyć go dosłownie, ale mniej więcej to było tak:

Życie w kraju naszym jest monotonne i szare. Zupełnie inaczej dzieje się w Bulgarji. Niebożęta Bulgarowie namartwili się tak bardzo pod jarzmem tureckiem, że słusznie losy zsyłają im coraz nowe radości. Księcia wypędzają — wielka radość, książę powraca — jeszcze większa. Książę wjeżdżał do konaku na głowach swych poddanych. Gazety donoszą, że był bardzo wzruszony i miał łzy w oczach. Wierzę bardzo, z pewnością nigdy jeszcze w życiu nie siedział na tak twardem siedzeniu.

Prus nigdy nie był w Bulgarji, prawdopodobnie nigdy w życiu nie znał żadnego Bulgara, lecz dzięki swej intuicji artystycznej doskonale zrozumiał psychologję bulgarską. Konserwatyzm polityczny jest produktem wyższej kultury. Narody zacofane, jakkolwiek to wygląda na parodoks, są żądne nowinek, cupidi rerum novarum

Z. S.

CO ZROBI SEJM?

Kto reprezentuje wolę większości społeczeństwa — sejm, czy Prezydent Rzplitej i marsz. Piłsudski?

Jak wolnoby uzyskać dostateczną odpowiedź na to pytanie?

Przebieg ostatniego „przesilenia" rządowego — jeśli tak wolno nazwać okres od dymisji jednego do nominacji drugiego gabinetu, gdy powodem dymisji nie było załamanie się polityki rządowej wobec opozycji a nastąpiła na skutek upływu z góry ustalonego terminu urzędowania — nastręcza sporo refleksji i daje szereg przesłanek, z których wolno wyprowadzać wnioski na przyszłość.

Przedewszystkiem uprzytomnijmy sobie, jaki przebieg miały dotychczas nasze przesilenia gabinetowe.

Zaczynało się od wniesienia dymisji przez premjera na ręce Prezydenta Rzeczypospolitej, który ustępującemu rządowi powierzał dalsze sprawowanie funkcji do chwili zamianowania nowego rządu, albo powierzał tymczasowo kierownictwo poszczególnych ministerstw urzędnikom.

Akt 2-gi: Marszałek Sejmu odbywa narady z przedstawicielami klubów, aby stwierdzić, czy istnieje możliwość stworzenia rządu parlamentarnego, poczem referuje sytuację i swoje wnioski Prezydentowi Rzeczypospolitej. Gazety rano i wieczorem całe stronice zadrukowują wyliczaniem kto był przyjęty przez p. marszałka Sejmu, co powiedział, jaką miał minę, gdy opuszczał konferencję i jak zbył natrętnego reportera. Wszystko dużym drukiem, upstrzone sensacyjnymi tytułami, co drugi wiersz nazwisko jakiegoś kandydata na urząd premjerowski lub do jakiejś teki. W Warszawie i całym kraju poruszenie, giełda spekuluje, złoty spada o kilka lub kilkanaście punktów, daje się odczuwać brak mąki lub cukru, zależnie od tego, jakie panują przewidywania co do polityki wywozowej przyszłego rządu.

Akt 3-ci w Belwederze. Marszałek Sejmu zreferował sytuację i przedstawił swoje wnioski; p. Prezydent Rzeczypospolitej albo wygłasza swój pogląd odrębny i wówczas marszałek Sejmu powtarza akt drugi, zapytując przedstawicieli klubów o stanowisko ich wobec koncepcji p. Prezydenta, albo też Prezydent akceptuje wniosek marszałka i godzi się na parlamentarny względnie pozaparlamentarny gabinet. Bywała jeszcze trzecia inscenizacja trzeciego aktu, mianowicie p. Prezydent wyraził pragnienie osobistego porozumienia się z przedstawicielami klubów co do swej koncepcji, względnie decyzji. Zaczynał się wówczas polonez od Sejmu do Belwederu. W pierwszej parze poseł Głąbiński z posłem Gdykiem (Z. L. N.), w drugiej poseł Witos z posłem Dąbskim („Piast"), potem kolejno Ch. D., P. P. S., N. P. R., „Wyzwolenie" „Koło żydowskie", „Niezależna Partja Chłopska", „Chrześcijańsko - Narodowe Stronnictwo", Rusini, Białorusini, Niemcy i t. d. i t. d.

Akt. 4-ty: Belweder. Prezydent Rzeczypospolitej zaprasza do siebie kolejno przewidzianych na urząd premjerowski kandydatów. Kilka odmów — wreszcie ktoś decyduje się i przyjmuje mandat.

W prasie sensacja — jeżeli pora po temu — dodatki nadzwyczajne. Portret kandydata, życiorys, przypuszczalny skład gabinetu, ankieta między przedstawicielami klubów sejmowych o widokach powodzenia misji. Na giełdzie nastroje zmieniają się jak pogoda w marcu — kursy skaczą dalej. Telegraf, telefon pracują bez wytchnienia — prowincja zdenerwowana czeka na wiadomości, plotkarstwo w rozkwicie.

Akt 5-ty: w Sejmie. Kandydat przybywa do Sejmu i instaluje się w gabinecie marszałka Sejmu. Kolejno zaprasza do siebie przedstawicieli klubów w porządku jak w akcie trzecim i dowiaduje się jakie stanowisko zajmą wobec jego misji, jakie mają specjalne życzenia, pod jakim warunkiem go poprą — które teki ich interesują i jakich wysuwają kandydatów. Jeśli to jest kandydat z poza Sejmu wtrąca czasem nieśmiało swoją opinję i wymienia nazwisko jakiegoś swojego kandydata, ale zastrzega się, że w rezultacie wola stronnictw będzie dla niego miarodajną.

Gdy został sam zabiera się do liczenia. Ile przeciw niemu, ile za nim — co żądają ci co są za nim, ile dałby trzeba, aby jakiegoś przeciwnika skaptować. Potem z wyników tego rachunku osądza możliwości programowe. Czasem raz jeszcze prosi przedstawicieli tego lub owego stronnictwa i wreszcie, wzdychając ciężko, mówi do siebie „tak" albo „nie".

Powziąwszy decyzję, opuszcza gabinet i udaje się do lokalu klubu sprawozdawców sejmowych. Tam wygłasza swoje pierwsze, albo pierwsze i ostatnie zarazem ekspose i zawiadamia, czy stworzy rząd, czy też zwraca p. Prezydentowi mandat.

Akt 6-ty: Prezydjum Rady Ministrów (o ile kandydat składa misję powtarzają się kolejno akty 3, 4 i 5).

Nowy premjer odbywa konferencje z zaproszonymi przez siebie lub wysuniętymi nieoficjalnie przez czynniki sejmowe kandydatami na ministrów.

Jeżeli wszystko idzie pomyślnie, to z gotową listą gabinetu jedzie do Belwederu i tam następuje

Akt 7-my, t. j. wygotowanie i podpisanie dekretów nominacyjnych.

To jest zasadniczy szablon dotychczasowej recepty przesileniowej — ale przesileń, które odbyłyby się programowo, podług tej recepty, bez rekapitulacji, komplikacji i kombinacji inscenizacyjnych, nie mieliśmy. Nieraz w ostatniej chwili podczas podziału tek rwało się wszystko i na nowo trzeba było zaczynać. To też przesilenia trwały od 14-tu do pięćdziesięciukilku dni. Z pierwotnych koncepcji programowych pozostawały strzępy, a to, co zrodziło się wśród takich bólów, było nienormalne, kalekie, ułomne i nosiło w sobie zarodek pewnej śmierci. Hodowanie takiego płodu kosztowało oczywiście drożej niż chowanie normalnego, a po śmierci, z góry przewidzianej, zaczynać przychodziło od początku.

* * *

Przy tworzeniu rządu prof. Bartla zerwano radykalnie z dotychczasową praktyką. Sejm został całkowicie wyeliminowany od udziału w tym akcie — nietylko Sejm ale i galerja gapiów i zawodowych klakierów, hałaśliwie objawiająca zwykle swoje i obce sympatje i antypatje w poszczególnych fazach przesileniowych. Zaledwie coś niecoś przez szpary w drzwiach podpatrzono i podsłuchano, ale na własne ryzyko nie ośmielono się głośniej komentować podchwyconych szczegółów.

Prezydent Rzeczypospolitej na serjo, a nie wedle zniekształconego ducha wadliwej samej z siebie konstytucji pojął swoją rolę głowy państwa, a więc naturalnego szermierza i obrońcy interesu państwowego. Rola Sejmu przy tworzeniu rządów dotychczas żadnej korzyści państwu nie przyniosła. Każda większość w Sejmie była tworem sztucznym, zlepionym chwilowo kitem koncesji i korzyści, którego dostarczyć musiało państwo. W ten sposób państwo, a więc całe społeczeństwo, od kilku lub kilkunastu partji kupowało sobie rząd, płacąc nieraz horendalną wprost cenę — zamiast rząd ten otrzymać bezpłatnie, lub kosztem partyj w postaci ustępstw na rzecz państwa, ufundowany. Jeszcze kilka takich operacji kupna rządu — a bankructwo państwa byłoby zupełne.

Prezydent Rzeczypospolitej postanowił tymczasem rządu nie kupować w Sejmie. Sformował go sam i tak dalece akcentuje swoją z tym rządem łączność, że przewodniczy jego posiedzeniom. Prof. Bartel jest przedewszystkiem mężem zaufania głowy państwa, która działa w tem przeświadczeniu, że spełnia wolę większości społeczeństwa.

Sejm obraził się. Marszałek Sejmu, którego tym razem nie zapytano o nastroje w Sejmie i o życzenia Sejmu — zapowiedział swoją dymisję.

* * *

Co będzie dalej? Sytuacja bowiem jest niezwykła i doprowadzona do krańcowości. Ktoś musi kapitulować: albo Sejm, który reprezentuje wolę społeczeństwa formalnie, albo Prezydent Rzeczypospolitej i marsz. Piłsudski, którzy twierdzą, że reprezentują ją faktycznie. Pojedynek ten, rozpoczęty wyzwaniem, rzuconem przez marsz. Piłsudskiego w maju, dotychczas się nie rozpoczął. Termin respektowy nie upłynął jeszcze; liczyć się zacznie od wystąpienia rządu prof. Bartla przed Sejmem. Jesteśmy przekonani, że walka toczyć się będzie odtąd przy użyciu równej broni i że na Sejm do pewnego czasu nie będzie wywarta żadna presja, gdyż każdy gwałt, każdy zabroniony chwyt czy sztych w tym pojedynku mógłby wywołać niebezpieczne gwizdy i ryki w społeczeństwie. Jeśli już raz nie stanęło się na gruncie dyktatury i narzucania woli, to teraz już nie pora na to. Pojedynek musi się odbyć podług wszelkich reguł przyzwoitości — musi być fair.

* * *

Jaki może być przebieg tego pojedynku?

Rząd prof. Bartla stanie przed Sejmem i wyłuszczy swój program, który przedtem poda do wiadomości społeczeństwa, aby Sejm mógł zorjentować się w nastrojach wśród mas swoich wyborców. Tymczasem społeczeństwo uwierzy w wolę wykonania tego programu, gdyż niema żadnych powodów do przypuszczeń, by wzniosły program pokrywał mniej wzniosłe porozumienia i szacherki — uwierzy i zajmie stanowisko.

Sejm albo skapituluje i uchyli się od walki, akceptując program w całości i bez zastrzeżeń, a wówczas pojedynek jest skończony i rząd względnie Prezydent i marsz. Piłsudski bez pozorów dyktatury rządzić będą, otrzymując formalną aprobatę Sejmu na wszystko, przyczem w wielu, a przynajmniej w ważniejszych wypadkach wola tej większości Sejmu, która akceptowała program, odzyska pełną swą wagę, jeśli będzie solidarna i konsekwentna — albo Sejm odrzuci deklarację rządu prof. Bartla i pojedynek przyjmie.

W tym ostatnim wypadku jedyną godziwą bronią do przeprowadzenia tego pojedynku byłoby referendum — powszechne głosowanie na zasadach obowiązującej ordynacji wyborczej nad pytaniem: „wola Sejmu, czy program Prezydenta i marsz. Piłsudskiego".

Referendum w konstytucji nie jest przewidziane, ale ściśle rozumując, odwołanie się do społeczeństwa, którego wola w myśl konstytucji jest źródłem prawa, nie jest złamaniem ani naruszeniem konstytucji.

Gdyby natomiast po odrzuceniu przez Sejm deklaracji rządu marsz. Piłsudski siłą zbrojną rozpędził Sejm, rządził przez pewien czas bez Sejmu, a potem zwołał nowy na zasadzie nowej przez siebie nadanej ordynacji, byłoby to zamachem stanu i złamaniem konstytucji, byłoby gwałtownem usunięciem obecnego demokratycznego parlamentarnego ustroju i wprowadzeniem dyktatury. Dyktatura mogłaby zdepopularyzowac swoich twórców i skończyć się nowym przewrotem lub jakimś nieoczekiwanym rezultatem wyborów. Pojedynek byłby rozegrany niehonorowo.

Referendum wydałoby wyrok. Najbardziej miarodajny i sprawiedliwy wyrok, a zarazem nieograniczoną plenipotencję do wykonywania albo woli Sejmu albo programu rządu.

Przed referendum zarówno członkowie rządu jak i przedstawiciele Sejmu musieliby mieć pełną swobodę prowadzenia agitacji. Głosowanie odbyłoby się według okręgów wyborczych pod kontrolą posłów danego okręgu i przedstawicieli rządu.

* * *

Sądzimy, że do referendum nie dojdzie. Sejm obecny nie zdobędzie się na jednomyślność nawet teraz, gdy chodzi o jego powagę, wpływ i konstytucyjną rolę. Marsz Rataj składa swój urząd, bo przewiduje zasłużony i pewny upadek Sejmu obecnego, który nie odważy się odwołać do społeczeństwa, bo wie z góry, że znajdzie tam zaprzeczenie swych mandatów. Rząd prof. Bartla, rząd powołany bez udziału Sejmu z woli Prezydenta i marsz. Piłsudskiego, otrzyma formalną aprobatę Sejmu — a wówczas wszelka agitacja w społeczeństwie ze strony tych, którzy w Sejmie dadzą rządowi aprobatę, musi być tępiona jako fałszywa, podwójna gra.

Prawo do głosu przeciw rządowi i tym, których wola go powołała mieć będzie tylko opozycja, zgłoszona wyraźnie w Sejmie.

Pojedynek rozpocznie się niebawem — o rozwiązaniu czy rozpędzeniu Sejmu mowy być niemoże. Jeśli wogóle potrzebny będzie jakiś akt nieprzewidziany w konstytucji, to może być nim tylko referendum.

Tylko taka taktyka da się pogodzić z hasłami moralności w życiu publicznem, których fundamentalną zasadą jest: „Neminem captivabimus, nisi jure victum" — nikogo, ani nawet obecnego „skorumpowanego, zdemoralizowanego, zgniłego i zgangrenowanego" Sejmu.

P. Z.

Nie kopać przepaści!

Na marginesie oskarżeń o masonerję osób stojących na czele państwa.

Chwila obecna wymaga bezsprzecznie skupienia wszystkich twórczych sił w kierunku wyjścia z ciężkich warunków ekonomicznych i politycznych, w jakich Polska znalazła się.

Kardynalnymi jednakże warunkami dla tego rodzaju współpracy są: wzajemne zaufanie oraz bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne. Zwłaszcza troskę o zapewnienie tych warunków muszą podjąć ci, którzy stoją na czele społeczeństwa, tworząc jego władzę państwową.

Rząd tedy w przedsięwzięciach swych musi kierować się wyłącznie poczuciem prawa i szczerą intencją podźwignięcia Ojczyzny — a tem samem stwarzać tło dla powstania ogólnie sprzyjających warunków wśród społeczeństwa. Nawzajem znowu społeczeństwo, a szczególniej jednostki — nie mogą utrudniać pracy wtedy, gdy dobro ogólne nie jest narażone na niebezpieczeństwo. Owszem każdy obowiązanym jest współdziałać w tej twórczej pracy w miarę możności i uzdolnienia. Nie wolno zatem rzucać kamieni pod nogi tym, którzy, biorąc odpowiedzialność za ster nawy państwowej zmierzają do sanacji życia publicznego.

Bądźmy zaś szczerymi i nie owijajmy w bawełnę — dotychczas przedsiębrano środki przeważnie natury czysto negatywnej. Liczyliśmy raczej na szczęśliwy bieg wypadków czy też na samozachowawczy charakter naszego organizmu gospodarczego. I tak schodził dzień za dniem... tydzień za tygodniem... a coraz większa nędza zaglądała w progi nasze. Skoro tedy wypadki majowe dają chociażby prognostyk nowych warunków życiowych, skoro coraz bardziej wzbiera otucha i skupiać się zaczyna myśl twórczej pracy w kierunku poprawy, skoro Zgromadzenie Narodowe, jako przedstawicielstwo narodu, uznało za stosowne powołać nowego prezydenta Rzeczypospolitej, przeto elementarne zasady polityki nakazują tworzącej się atmosfery sprzyjających warunków nie burzyć — przynajmniej już dotąd — dopóki wyraźnie złe skutki czy też zła wola nie ujawnią się.

Tymczasem widzimy niebezpieczne zjawisko ze względu na swój charakter i na skutki — jakie sprowadzić może. **Prasa pewnych odłamów zarzuca mianowicie Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej jako też i większości członków dotychczasowego gabinetu, przynależność do loży masońskiej. Snuje więc obawy z tego powodu i upatruje nawet niebezpieczeństwo, grożące naszym ideałom chrześcijańskim a nawet i Polsce.**

Otóż rozumiemy doniosłość zagadnienia, bo uważamy, że jedynie ideały etyki i moralności chrześcijańskiej stanowią silny fundament państwowości naszej. Rozumiemy też w zupełności słuszność stanowiska ludności chrześcijańskiej, by na ideałach chrześcijańskich, jako ideałach ogromnej większości narodu, rozwijało się życie publiczne. Jednakże mimo to wszystko uważamy, że zarzut **zbyt pochopnie i lekomyślnie został sformułowany.**

Śmiemy nawet wyrazić podejrzenie, że właśnie możliwem tu jest **nadużycie przekonań religijnych dla celów walk politycznych.**

A opieramy swe mniemania na tem, że swego czasu przecież o to samo posądzano byłego Prezydenta, chociaż później okazało się co innego; co więcej — **to piętnowanie nazwą „masona“ u nas jest właśnie modnem, bo prawie na porządku dziennym, a ofiarą są zwykle ludzie czynu — jednostki nieprzeciętne.** Tem bardziej znowu staje się to dziwnem w obecnych warunkach, bo przecież Pan Prezydent w swej odezwie wyraźnie podkreślił znaczenie religji w życiu narodu, a także ci z pośród członków gabinetu, którzy mieli pełnić nawet wyższe urzędy w loży, w doniosłych wyrazach nawoływali do wychowania w duchu ideałów Chrystusowych. Czyżby więc mieli dopuszczać się obłudy?

Trudno też z całą pewnością wskazać źródło tych zarzutów — jednakże uważamy, że łatwość z jaką w Polsce piętnuje się poszczególne jednostki masonami płynie w wielkiej mierze z nieuświadomienia sobie zadań masonerji, a poza tem działa atmosfera partyjnictwa. Częstokroć mianowicie, nie mogąc zwyciężyć przeciwnika politycznego, posądza go się o cele masońskie. Wtedy bowiem względy natury religijnej potężnie przemawiają do świadomości społeczeństwa.

Trudno przesądzać o przyszłości. Ale opierając swój sąd na teraźniejszości, wszystko wskazywać zdaje się, że sprytnie ukuto broń w walce z przeciwnikami politycznymi i nadużyto religji, by wzbudzić nieufność społeczeństwa względem dzisiejszych sterników nawy państwowej.

Zresztą w **tej tak drażliwej sprawie winny przedewszystkiem zabrać głos powołane czynniki kościelne.** I bądźmy pewni, że gdyby w rzeczywistości naszym ideałom chrześcijańskim zagrażało niebezpieczeństwo, nie omieszkaliby tego uczynić, boć to jest ich świętym i narodowym obowiązkiem. Skoro jednakże tego nie czynią — to widocznie niema dostatecznych powodów ku temu.

Zresztą gdy się zważy, z którego obozu te zarzuty płyną — wtedy tem bardziej zaczyna się podejrzewać ich szczerość. Jak bowiem niema tam monopolu patrjotyzmu — tak samo problematyczną mają wartość dla niego zasady chrześcijańskie bo... są środkiem do swoistych celów.

Przeto żadna okoliczność nie przemawia za słusznością wspomnianych wystąpień.

A tymczasem spełniają one rolę rozsadnika nieufności wśród społeczeństwa polskiego w stosunku do władz państwowych. Kopie się więc rowy nieufności między rządem a narodem. Zamiast skupiać i jednoczyć ku wspólnym celom — dzieli się i wszczyna podziemną robotę. Tego rodzaju zaś krecia robota nie zdoła nic naprawić — ale zato wiele zrujnować może.

Jeżeli do tego przyłączą się jeszcze ataki ze strony wrogów państwowości naszej — wtedy wszystkie wysiłki i trudy mogą spełznąć na niczem.

Ponieważ znowu zakusy komunistyczne wybitnie się wzmogły — przeto tem bardziej nie wolno w dobie obecnej prowadzić niczem nieusprawiedliwionej kampanji przeciwko tym, w ręku których spoczywa najwyższa władza państwowa.

Jeżeli wogóle roztropność w życiu stanowi kardynalną zasadę — to tem bardziej jest ona wprost konieczną obecnie.

Nie podrywać więc autorytetu i godności sterników nawy państwowej na progu rozpoczęcia działalności, nie burzyć — rzucając w tłum wątpliwej wartości hasła — ale wzmacniać powagę władzy państwowej należy! *Ir.*

Reforma ordynacji wyborczej

Osoby zamiast list. — Zmniejszenie ilości posłów. — Ograniczenie praw analfabetów.

Przekonanie, wypowiedziane w doskonałym artykule p. P. Z., zamieszczonym w przedostatnim numerze „Prawdy“, iż nie należy natychmiast rozwiązywać Sejmu, utrwala się oraz silniej w opinji publicznej. Że przed zmianą ordynacji wyborczej i odpowiednich artykułów konstytucji nie można rozpisywać nowych wyborów, gdyż wyłoniony z nich Sejm odziedziczyłby chorobę swego poprzednika i że w ten sposób trapiący nas kryzys parlamentaryzmu w dalszym ciągu zaogniałby się, — to rozumieją zarówno stronnictwa prawicowe, jak mąż zaufania lewicy, marszałek Józef Piłsudski, który w historycznej swej mowie, poprzedzającej jego wybór na Prezydenta Rzeczypospolitej, a wypowiedzianej wobec przedstawicieli parlamentu, oświadczył się za odroczeniem Sejmu, a więc nie za jego natychmiastowem rozwiązaniem. Wreszcie tak wybitnie „centrowy“ mąż stanu, jak p. Antoni Ponikowski, pisze ostatnio w „Sterze“, iż „gdybyśmy mieli dokonać nowych wyborów na zasadzie dotychczas obowiązującej ordynacji, byłaby to więcej niż lekkomyślność“.

Poza pewnemi zasadniczemi zmianami dotyczącemi konstytucji, jak przedewszystkiem rozszerzenie władzy Prezydenta Rzeczypospolitej w stosunku do ciał ustawodawczych oraz rozszerzenia kompetencji Senatu, jeżeli ma on wogóle spełniać zadanie, do jakiego został powołany, — na czoło reformy ordynacji wyborczej wysuwa się konieczność ustanowienia głosowania nie na listy partyjne, lecz na nazwiska. Jest to postulat pierwszorzędnego znaczenia, jeżeli parlament nie ma być w dalszym ciągu demagogiczną areną bezpłodnych zapasów partyj i partyjek. Jest to konieczność nietylko ze względu na tych kandydatów, którzy przy swoich wielkich wartościach politycznych nie mogą się nagiąć do żadnego programu partyjnego i dlatego przy obecnej ordynacji wyborczej nie mogą dostać się do Sejmu; jest to również antydemokratyczna zasada, zmuszająca wyborców do głosowania na stronnictwa, do których może nie mają zupełnie zaufania, a nie pozwalająca im na wybieranie tych, których uważają za najgodniejszych.

Postulat znacznego zmniejszenia liczby posłów i senatorów, wysunięty już przez niektóre stronnictwa w Sejmie, wyłonił się nietylko ze względów oszczędnościowych. Poza tym motywem, zupełnie drugorzędnym, chodzi tu o zmuszenie członków obu ciał ustawodawczych do intensywniejszej, niż obecnie, pracy — nietylko na plenum, ale i w komisjach. Dzisiejsza bowiem liczba posłów i senatorów zmusza ich wprost do próżnowania. Nic zaś tak nie demoralizuje, jak bezczynność.

A wreszcie sprawa najtrudniejsza — sprawa proporcjonalności wyborów. Niewątpliwie trudno pogodzić się z myślą, że jednakowa ilość posłów reprezentuje okręgi o wysokiej kulturze i istotnem uświadomieniu polityczno - społecznem, co okolice zamieszkałe przez analfabetów elementarza, a w każdym razie przez analfabetów politycznych, ulegających jakiejkolwiek agitacji, a więc masę najzupełnie bierną, pozbawioną jakiegokolwiek poczucia państwowego. Nieosiągalnym ideałem byłby taki stan rzeczy, żeby posłowie byli wybierani proporcjonalnie nie do ilości wyborców, lecz do ilości ich „umów“ polityczno - kulturalnych, jakby powiedział Trentowski, jeżelibyśmy przyjęli „um“ jako urojoną jednostkę mierniczą inteligencji. Jest to oczywiście utopja, której nigdy nie zrealizujemy, ale do której musimy dążyć. Znalezienie odpowiedniego kryterjum, wyznaczenie censusu inteligencji dla wyborcy jest rzeczą niesłychanie trudną; ale z drugiej strony obdarzenie wszystkich analfabetów prawem wyborczem czynnem i biernem jest absurdem, który jest jedną z zasadniczych przyczyn braku powagi naszych ciał ustawodawczych.

W senacie starożytnego Rzymu istniała zawsze grupa, znana z tego, że członkowie jej wyłącznie głosowali, nigdy zaś nie przemawiali. Zwano ich „pedarii“. I oto jeszcze jedna cecha, zbliżająca nasz Sejm do dostojnego kollegjum rzymskiego... Posiada on bowiem również w swem gronie jednostki, których jedyną funkcją jest głosowanie — w obu znaczeniach, t, j. oddawanie głosu i wydawanie głosów, zgoła zresztą nie rzymskich, a wyrażających uczucia, jakie w danej chwili posłem miotają... Pozatem ani w dyskusji, ani w pracach komisyjnych „pedarii“ nasi nie uczestniczą.

Tak pojęta rzymskość naszych ciał ustawodawczych nie wszystkim trafia w Polsce do przekonania. I urzeczywistnienie niektórych z wyżej wymienionych reform byłoby niewątpliwie żelazną miotłą, wymiatającą ze Sejmu i Senatu „pedariów“. Bo — jak zaznaczyliśmy — zmniejszenie liczby posłów zmusiłoby pozostałych do intensywniejszej działalności i nie pozwoliłoby im ograniczać się do głosowania na komendę menerów partyjnych; zaś głosowanie wyborców na nazwiska, nie na gotowe listy, pozwoliłoby im wybierać ludzi światłych i pracowitych, a wykluczać głupich i leniwych. Najlepszą jednak bronią w walce z kultem niekompetencji byłoby odebranie analfabetom prawa wyborczego biernego i ograniczenie czynnego, jeżeli już musielibyśmy zrezygnować z jakiegoś wyższego censusu inteligencji, niż znajomość czytania i pisania.

Analfabeci, jako wyborcy, są z natury rzeczy najpodatniejszym przedmiotem agitacji, jako enwentualni posłowie — oczywiście najpewniejszym materjałem na „pedariów“ najniższego gatunku. A zastanówmy się: Polska jest krajem, liczącym co najmniej 75% włościan, których olbrzymia część jest analfabetami, pomijając analfabetów innych warstw. Ci analfabeci mają prawo wyborcze jedno i drugie. Coby się więc stało, gdyby pewnego pięknego poranku ukonstytuował się Sejm o bezwzględnej większości — analfabetów?... Przesadzamy? Zapewne. Niemniej jednak pozostaje faktem, że przyznanie analfabetom prawa wyborczego czynnego i biernego sprzeciwia się nietylko zasadzie demokratycznej, umożliwiając cudzy nacisk na nieuświadomionego wyborcę: grozi także naszemu Sejmowi zalewem ludzi ciemnych, których zadaniem ma być przecież decydowanie o losach Państwa. Jest to oczywiste igranie z ogniem.

Na szczęście konieczność reformy wyborczej, nie tak dawno jeszcze uważana przez pewne sfery polityczne za postulat reakcyjny, jest dzisiaj hasłem dnia, głoszonem przez całe społeczeństwo. Jeżeli bowiem tragiczne wypadki majowe były w gruncie rzeczy konsekwencją kryzysu parlamentaryzmu, to nie ulega wątpliwości, że znowu kryzys ten jest wynikiem wadliwej ustawy wyborczej. Obecnie rozumieją to wszyscy, przedewszystkiem zaś Rząd, który zgodnie z zapowiedzią premjera Bartla zabrał się gorliwie do wypracowania projektu zmiany ordynacji.

Na rezultaty tej pracy czeka z zapartym oddechem cała Polska.

Ignacy Wieniewski.

Pierwsza rzecz

stabilizacja waluty

Niezrównoważony budżet, niedostateczność obiegu pieniężnego i kredytów, stopa procentowa, przeciążenie podatkowe, zdławiona konsumcja, zastój w handlu, bezrobocie, zanik oszczędności: wszystkie te dotkliwie nas przygniatające objawy przebywanej choroby są już to przyczyną, już też skutkiem zła głównego: niestałości kursu naszej waluty. Jesteśmy więc w błędnem kole, gdyż to główne źródło zła pogłębia się stale właśnie przez coraz nowe zło, które wytwarza samo. Łatwo byłoby przecie skonstruować łańcuch, w którym wszystkie wspomniane objawy stanowiłyby logicznie i przyczynowo powiązane ogniwa, a z nich pierwszem i ostatniem byłaby chwiejność kursu złotego.

Jeżeli jednak tak jest, to pytanie dotyczące podstawy naszej sanacji gospodarczej, sprowadza się do tego, czy możemy bez pomocy większej pożyczki zagranicznej zapewnić niezachwianą stałość kursowi naszej waluty, czy nie. Jeżeli tak — to jakiemi drogami, jeżeli nie — to nie traćmy ani dnia, ani godziny nawet, bo każda chwila zwłoki pogarsza tylko szanse warunków pożyczki, których tak bardzo się boimy.

Ale bez złudzeń i nieporozumień: nie chcieliśmy bynajmniej powiedzieć, że ustabilizowanie waluty, to alfa i omega sanacji. Nie; to tylko nieodzowny, nieodzownie pierwszy jej warunek podstawowy. Zdajemy sobie sprawę z tego, że i po dokonaniu stabilizacji czeka nas długi jeszcze szereg walk i porania się i borykania i zmagania z trudnościami olbrzymiemi. Ale przecie będzie poco walczyć i porać się i borykać i zmagać, gdy wiara i ufność i uświadomienie celowości będą równie silnym motorem walki, jak silnym jej hamulcem jest dzisiaj nieufność, zwątpienie i gorycz.

Dzisiaj niema poprostu w Polsce człowieka, któryby — gdyby nawet mógł — gromadził oszczędności, nie zamieniwszy ich na dolary, tak samo jak niema przemysłowca, któryby kalkulował w złotych, i finansisty, któryby w naszej walucie udzielał kredytu. To jest bardzo źle — ale inaczej być nie może, i ani prawodawca, ani władza wykonawcza nie zdoła tego odmienić, dopóki banknot złotowy nie przestanie być symbolem wartości niestałej i nieuchwytnej.

Że i jak dalece tkwimy dzisiaj pod względem wszystkich zgoła warunków gospodarczych w chaosie i bezładzie — to okaże się dopiero w chwili dokonania stabilizacji. Nienormalne są ceny — jedne za niskie, inne za wysokie — nienormalne płace, nienormalne kredyty i ich cena, nienormalne cła i taryfy, nienormalne warunki umów i terminy, nienormalne wszelkie tranzakcje. Wszystko zbudowane na lodzie, wszystko ukręcone z piasku. Z tego wyjść trzeba za wszelką cenę. Tylko nie za cenę rozporządzeń represyjnych z których każde jest, bo musi być, obchodzone i które dlatego właśnie są źródłem i siewcą niemoralności społecznej i państwowej wśród obywateli. Przemysłowiec i kupiec, który ma złote, a potrzebuje obcej waluty dla spłacenia długu, lub nabycia towaru, jeżeli ich nie dostanie legalnie, to je kupi nielegalnie. Tak samo inny, który posiada waluty obce, a potrzebuje złotych, nie sprzeda ich Bankowi Polskiemu, jeżeli ulica lepiej mu za nie zapłaci.

Ani tymi środkami, ani ośmieszającymi nas wobec świata, niewolącymi obywateli i zamieniającymi kraj na więzienie przepisami paszportowymi, nigdy i nigdzie na świecie niepraktykowanymi, kursu waluty nie zbawimy. O tych obostrzeniach paszportowych, wylęgłych w spłoszonych w chwilach paniki umysłach, a faworyzowanych przez bezkrytyczne masy, dla schlebienia którym w celach demagogicznych zostały zarządzone; o tych przepisach, bezwzględnie hamujących zarówno propagandę polityczną, jak gospodarczą, utrudniających stosunki handlowe, więc zarówno uzyskiwanie kredytów, jak i eksport; o tych przepisach, stanowiących osobne źródło udręki obywateli przez upajających się swą władzą urzędników; o tych przepisach zatem, pozornie tylko pożytecznych, naprawdę zaś bardzo szkodliwych robimy w tem miejscu wzmiankę tylko, bo jako objaw odrębny zasługują na wyczerpujące omówienie.

Że to nie są drogi prowadzące do celu — o tem wiemy zarówno z czasów marki, jak i ze świeżych doświadczeń ze złotym.

Zatem w okresie, w którym mocny czyn zastąpić ma blade słowa, społeczeństwo ma prawo oczekiwać od powołanego do steru nowego rządu jasnego i wyraźnego zajęcia stanowiska do tego naczelnego zagadnienia gospodarczego, i domagać się czynu, podyktowanego przez jasne uświadomienie wielkich konieczności i nie dającego się spłoszyć przez mętną i ckliwą frazeologię zgubnej demagogji.

Międzynarodowy dzień pracy

W berlińskiej gazecie „Tägliche Rundschau“ ukazał się niedawno ciekawy artykuł Gustawa Cassla o sprawie, wymienionej w nagłówku. Cassel jest to Szwed, profesor uniwersytetu w Sztokholmie, jeden z najgłośniejszych ekonomistów współczesnych. Zwłaszcza w sprawach monetarnych uchodzi za autorytet, i różne ekonomiczne zjazdy międzynarodowe zasięgają nieraz jego opinji. Warto zapoznać się z poglądami, wypowiedzianemi we wspomnianym artykule.

Międzynarodowość ochrony pracy jest ostatnią modą w świecie socjalno - politycznym. Jak w innych sprawach mody, tak i tu nie dopuszcza się żadnej krytyki, odebrano nawet głos zdrowemu rozsądkowi. Są idealiści, którym szczerze zależy na tem, aby zapewnić jak największym rzeszom na świecie dobrodziejstwa nowożytnej ochrony pracy, lecz gdy przedstawiciele mocarstw zjadą się na międzynarodową konferencję, to uszczęśliwienie obcych obywateli należy do ich najmniejszych zmartwień, kieruje nimi głównie troska o rynki zbytu, wytężają wszystkie siły, aby utrącić niedogodnych konkurentów.

Czy próbę uszczęśliwienia wszystkich narodów świata jednakowym dniem pracy można uważać za usiłowanie rozsądne? Przecież każdy rozumie, że różne narody mają ogromnie różnorodne nawyknienia, a więc dzień roboczy odpowiedni dla jednego, może być zupełnie nieodpowiedni dla innych. Gdzie praca jest szczególnie intensywna, gdzie takt pracy jest najszybszy, tam dzień ośmiogodzinny może być na miejscu, i różne okoliczności wskazują, że w Stanach Zjednoczonych właśnie taki dzień roboczy jest wogóle dobrany stosownie. Ale wędrujmy ku wschodowi, a przekonamy się, że dzień ośmiogodzinny coraz mniej pasuje do narodu. Anglikom jest jeszcze może najłatwiej utrzymać takt pracy, odpowiadający krótkiemu dniowi, w Niemczech już sprawa jest trudniejsza. Robotnik niemiecki pracuje z namysłem i gruntownie, lecz nie szybko, a zatem dla Niemiec nieco dłuższy dzień roboczy byłby zapewne stosowniejszy. Im dalej na wschód, tem ludność jest mniej zdolna do utrzymania amerykańskiego taktu pracy. Narzucić narodom wschodnio - europejskim amerykański dzień roboczy, gdy nie można ich zmusić do amerykańskiego taktu pracy, znaczy tyle, co wtrącić je w nędzę jeszcze większą od obecnej.

Dla długości dnia roboczego istnieje pewne gospodarcze optimum, i mamy wszelkie powody mniemać, że optimum jest dla różnych narodów bardzo rozmaite. Z tego bezpośrednio wynika, że dla większości narodów dążenie do jednakowego dnia pracy jest szkodliwe, a najszkodliwsze dla tych, do których obrana długość najmniej pasuje. Międzynarodowe uzgodnienie dnia pracy jest jednoznaczne z ujarzmieniem gospodarczem pewnych narodów. Jasną jest również rzeczą, że musowem następstwem będzie zubożenie świata, jako całości.

Główny argument, którym wojują zwolennicy międzynarodowego uzgodnienia w danej sprawie, polega na tem, że jakoby konkurencja krajów o niskim poziomie społeczno-politycznym uniemożliwia utrzymanie wysokiego poziomu w krajach wyżej rozwiniętych. Czyż istotnie w walce konkurencyjnej między dwoma narodami musi ulec koniecznie ten, w którym dzień roboczy jest krótszy? Oczywiście wcale tak się nie stanie, jeżeli ten krótszy dzień odpowiada optimum gospodarczemu danego narodu. Ale pomińmy ten przypadek. Wyobraźmy sobie dwa narody z mniej więcej jednakowym taktem pracy i przypuśćmy, że jeden pracuje osiem godzin, a drugi dziewięć. Czyż pierwszy ma zginąć bez ratunku w walce konkurencyjnej? Nic podobnego. Najkorzystniejszy dzień roboczy jest wielce rozmaity w różnych działach produkcji, i owa nierówność prowadzi przy wolnej konkurencji do pewnej specjalizacji za-[illegible]. Pierwszy naród poświęci się przeważnie tym rodzajom wytwórczości, w których najkorzystniejszy jest dzień ośmiogodzinny, gdy drugi rozwinie głównie te gałęzie, w których dzień dziewięciogodzinny zapewnia największe korzyści. W ten sposób dojdzie do międzynarodowego podziału pracy, korzystnego dla stron obu.

Dany robotnik zyskuje na tem, że robotnicy w innych działach produkcji pracują usilnie. Dzięki temu może za swą własną pracę otrzymać więcej wyrobów tamtych innych Tak samo zupełnie dzieje się w stosunkach między narodami. Dla Niemiec jest korzystne że szwedzcy górnicy pracują porządnie, również Szwecja odniesie korzyść, gdy niemieccy robotnicy w kopalniach węgla powiększą swą dzienną produkcję. Twierdzić, że ze względów konkurencji międzynarodowej komuś zależy na tem, aby zmniejszyć cudzą produkcję, jest bezbrzeżną niedorzecznością.

Inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o konkurencję w jednym i tym samym zawodzie. W tym przypadku konkurencja stanowi pobudkę do wzmożenia wysiłków. Kto pragnie pracować krótko, a pomimo to utrzymać się w konkurencji z dłuższym dniem roboczym, ten musi zrównoważyć różnicę wydajniejszą pracą, lepszą organizacją i t.d. Usuwać w tym razie konkurencję w drodze umów międzynarodowych jest to obdarzać producentów kosztem konsumentów, jest to jedno z tych ograniczeń produkcji, które stanowią hasło gospodarcze naszych czasów i zarazem jedno z najpotworniejszych zboczeń polityki ekonomicznej w ciągu stuleci.

Chcielibyśmy nareszcie ujrzeć projekt uregulowania długości dnia roboczego, wolny od doktrynerskich zachcianek unitaryzacji, od pasji narzucania swej woli słabszym, wreszcie od obłędu protekcjonistycznego i monopolistycznego.

Takie są poglądy Cassla. Widzimy, że odbiegają one ogromnie od gospodarczego credo, które obowiązuje w naszym kraju.

Zygmunt Straszewicz.

Dobrobyt a bilans handlowy

Polacy w okresie niewoli tak mały wpływ wywierali ni politykę ekonomiczną rządów zaborczych, że zainteresowanie zagadnieniami gospodarczemi było minimalne. Tem się tłumaczy zdumiewająca bezprogramowość naszych poczynań od samego zarania wskrzeszonej państwowości polskiej. Egoistyczne programy klas, grup i koterji nie mogą zastąpić programu narodu zróżniczkowanego, wolnego, w którym każdy ma prawo dążyć do dobrobytu.

Skłócone egoizmy przedstawicielstwa parlamentarnego nietylko nie złożyły się na syntezę — ale nawet przeciwnie, w poczuciu swej niemocy, złożyły swe uprawnienia w ręce rządu, dając mu szerokie pełnomocnictwa dla przeprowadzenia sanacji. Rząd ówczesny, jako stróż i kierownik finansów państwowych, uznał je za „rzecz samą w sobie“ — i sanację skarbu przeprowadził na ruinie przemysłu i handlu. Oczywiście, powodzenie było bardzo krótkotrwałe — nie może być zdrowych finansów bez zdrowego życia gospodarczego.

W spadku po tej smutnej pamięci „sanacji“, pozostał nam nadmierny rozrost biurokracji i jej ingerencji we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Biurokracja zawsze ma skłonność do utożsamiania siebie z Państwem — a utrzymanie swych licznych zastępów, — uznaje za konieczność państwową. Naród jest tylko doczepką — a nakazem patrjotyzmu jest ścisłe stosowanie się do przelicznych papierowych rozporządzeń.

Do kategorji takich pewników, wynikających z biurokratycznego światopoglądu, należy teorja czynnego bilansu handlowego, przyjęta niemal z jednomyślnością graniczącą z bezmyślnością.

Celem działalności gospodarczej jest zadowolenie potrzeb materjalnych ludzi — pieniądz jest tu tylko środkiem, ułatwiającym wymianę, miernikiem wartości. Znany przemysłowiec samochodowy, Ford, mówi, że „większość ludzi czuje, nawet gdy tego nie wiedzą, że pieniądz nie jest bogactwem“. W Polsce to odczuwanie i rozumienie zjawisk ekonomicznych jest mniej jasne. Dlatego społeczeństwo dało w siebie wmówić, że czynny bilans handlowy jest panaceum na nasze niedomagania walutowe. W rzeczywistości jednak czynny bilans handlowy wywołuje tylko automatyczną zwyżkę cen — **gdyż cena jest wykładnikiem stosunku, zachodzącego między ilością towarów a ilością pieniędzy na danym rynku.**

Rząd, w pogoni za walutami mocnemi, wszelkiemi siłami chce popierać wywóz a tamować dowóz. Wywozimy więc ze stratą, którą usiłujemy pokryć wyższemi cenami wewnętrznemi. Te wysokie ceny wewnętrzne składają się na wysokie koszty utrzymania, a zatem i produkcji — i zacieśniają coraz bardziej rynek wewnętrzny. Nadmierne koszty produkcji czynią wytwory naszego przemysłu niekonkurencyjnemi — wywozimy więc przeważnie surowce — i... bezczynne u nas urządzenia fabryczne oraz robotników, zmuszonych na obczyźnie szukać chleba, którego dać im nie może cudem odzyskana ojczyzna. Stałość waluty nie zależy od samego bilansu płatniczego — jest ona tylko jednym ze współczynników bilansu płatniczego, który u nas jest bierny, a ma wszelkie dane aby stać się czynnym.

Dokładne zestawienia statystyczne wykazują, że w XIX w. i aż do wybuchu wielkiej wojny w 1914 r., t. j. w okresie najsilniejszego wzrostu produkcji i zamożności, wszystkie państwa w Europie, za wyjątkiem niektórych państewek bałkańskich, które też w najmniejszym stopniu partycypowały w ogólnym dobrobycie — miały stale bierny bilans handlowy. Znane również jest powiedzenie wybitnego historyka rozwoju ekonomicznego, prof. Th. Roggers'a w angielskiej Izbie Gmin, kiedy ktoś zapewniał, iż bilans handlowy układa się czynnie: „Dowodzenia mojego przedmówcy muszą opierać się na jakimś błędzie statystycznym — gdyż gdyby nasz wywóz przekroczył dowóz, mielibyśmy powszechną zwyżkę cen — a nic podobnego nie obserwujemy“.

I z naszych kilkoletnich doświadczeń państwowych wiemy również, że złoty (dawniej marka) spada niezależnie od bilansu handlowego — a tylko od budżetu państwowego, i drukowania bilonu na wydatki konsumcyjne państwa, t. j. przeważnie na zbyt liczną biurokrację.

Interwencja giełdowa sztucznego podtrzymywania złotego dała wynik krótkotrwały — koszty płacimy teraz, gdyż procenty od pożyczki Dillonowskiej, t. zw. interwencyjnej obciążają trwale nasz bilans płatniczy.

Położenie geograficzne Polski predestynuje ją do odgrywania wybitnej roli w handlu Zachodu ze Wschodem. Niestety u nas zarówno rząd, jak reprezentacja parlamentarna, a może nawet psychika większości społeczeństwa, nastawione są raczej na walkę z handlem i kupiectwem, utożsamiając je z paskarstwem.

W kraju, w którym wojna i inflacja zniszczyły kapitał obiegowy, z natury rzeczy handel musi odgrywać największą rolę. Powszechnie znane są obecne trudności kredytowe, a zwłaszcza kredyt długoterminowy niemal nie istnieje. Rolnictwo wymaga kredytu długoterminowego — handel przeważnie krótkoterminowego — przemysł zajmuje miejsce pośrednie, właściwie potrzebując i jednej i drugiej formy kredytu. Historja wszystkich krajów, odbudowujących swój dobrobyt po zniszczeniach wojennych i kryzysowych wykazuje, że przedewszystkiem odbudowuje się handel. Handel najszybciej obraca kapitałem — więc najintensywniej wyzyskuje go; a obracając obcym kapitałem, w braku własnego, najszybciej odbudowuje zniszczone kapitały krajowe. Tyle lat u nas trwała dekapitalizacja, że czas najwyższy rozpocząć rekapitalizację. A ta się rozpocznie dopiero wtedy, gdy usuniemy przeszkody, gdy zrozumiemy, że zakazami i nakazami można kraj zubożyć — ale dobrobyt stworzy dopiero atmosfera wolności i poszanowania dla indywidualnej inicjatywy. Liga Pracy obliczyła, jakie miljony godzin i złotych Polska traci wskutek najkrótszego tygodnia pracy oraz nadmiernych ilości świąt. Gdyby obliczyć czas i pieniądze stracone na wystawanie w różnych urzędach, na uzyskiwanie zezwoleń na wywóz i przywóz i t. p., wypadłyby cyfry astronomiczne. Współcześni ekonomiści niemieccy duży nacisk kładą na „Konjunkturgewinn“ w tworzeniu się bogactw; oczywiście, przy naszej przewlekłej i uciążliwej procedurze biurokratycznej, „zysk z konjuktury“ nie może odgrywać znaczniejszej roli.

Niejednokrotnie porównywano organizm gospodarczy z organizmem ludzkim. Żadnemu jednak lekarzowi nie przyjdzie nawet na myśl stworzyć sztuczny np. obieg krwi doskonalszy i korzystniejszy dla zdrowia pacjenta, niż ten, jakim go natura obdarzyła. Tworzenie się bogactw, ich obieg i dystrybucja, są niemniej skomplikowane i cudowne. Do najdalszych krańców, do najmniejszych miasteczek, docierają towary, pochodzące ze wszystkich części świata. Zarówno kupujący, jak sprzedający, najczęściej nie znają ich pochodzenia ani dróg, jakiemi doszły — służą do zaspakajania potrzeb i to jest najważniejsze. Kiedy rząd miesza się do tych skomplikowanych spraw — zaspakajanie potrzeb na tem cierpi a nikt nie zyskuje. Niemcy, które zawsze szczyciły się swą energiczną i sprawną biurokracją, przekonały się, że najgorzej społeczeństwo było zaopatrzone w te towary, któremi rząd się opiekował. Np. zamorskiego ryżu, który był w wolnym handlu, nie zabrakło przez całą wojnę — brakowało natomiast produktów krajowych lub tych importowanych, które wycofano z wolnego handlu. Nasza biurokracja zapewne nawet we własnem przekonaniu nie pretenduje do tytułu sprawniejszej i doświadczeńszej — to też oddanie jej w ręce regulowania spraw gospodarczych, jest równoznaczne z zarzynaniem tępym nożem dobrobytu społeczeństwa.

Błędna teorja bilansu handlowego pociąga za sobą konsekwentnie regulowanie go przez państwo — a to znowu rujnuje dobrobyt. Gdyby państwo fundusze, wydawane na olbrzymie zastępy różnych „Komisji przywozu i wywozu“ oraz przeróżnych „regulatorów“ życia gospodarczego wydawało na usprawnienie naszej sieci kolejowej, budowę kanałów, regulację rzek i t. p. udogodnienia, zamiast hamulców dla handlu, — prawdopodobnie nasz handel rozwinąłby się z pożytkiem dla zaspokojenia potrzeb społeczeństwa i podniesienia jego zamożności — rozwój handlu pobudziłby i przemysł krajowy do intensywnej działalności. Niewątpliwie, ludność, która dzisiaj przymiera głodem i chodzi w łachmanach, znajdując zarobek w kraju, chciałaby się ubrać przyzwoicie i jadać dostatnio — a zatem sprowadzalibyśmy więcej bawełny i wełny oraz towarów kolonjalnych — nasz bilans handlowy byłby wprawdzie bierny, ale zarówno bilans płatniczy jak i dobrobyt społeczeństwa zyskałyby w tem.

Dziś, gdy jesteśmy w przededniu zwiększenia pełnomocnictw rządu w rozmiarach prawdopodobnie znacznie szerszych — należałoby podkreślić błędne przesłanki naszej dotychczasowej polityki ekonomicznej — aby uniknąć powtórzenia błędnych wniosków, które doprowadziły nas do ruiny. Zarówno nasze, jak i cudze doświadczenia wykazały, iż teorja „czynnego bilansu handlowego“ jest przesądem, nie mającym nic wspólnego z życiem i nauką. Złoty stracił na wartości wcześniej wewnętrznie, t. j. w stosunku do towarów, aniżeli w stosunku do obcych walut. To zaś „wewnętrzne“ załamanie się złotego było wynikiem nadmiernych wydatków personalnych, t. j. konsumcyjnych państwa. Stabilizację pożarła stugłowa hydra biurokracji — a nie przewyżka dowozu nad wywozem; albowiem kraj może zarabiać lub tracić zarówno na imporcie, jak eksporcie.

Obserwacja życia i opierająca się na niej teoretyczna ekonomja stwierdza jako pewnik, że tylko społeczeństwa o ożywionej wymianie są zamożnemi — „samowystarczalność“ zaś wiedzie do takiej nędzy, jak w Rosji sowieckiej.

Dr. M. Zawadzka.

Czy niema innej drogi?

Między indywidualizmem liberalnym a kollektywizmem socjalistycznym.

(Z powodu artykułu prof. Straszewicza)

W Nr. 23 „Prawdy" ukazał się artykuł „Socjalizm i liberalizm" prof. Z Straszewicza; sprawie tam poruszonej pragnę poświęcić parę słów, a to z powodu konkluzji Sz. autora, który radzi „przyjąć program liberalny", gdyż „innej drogi niema".

Przedewszystkiem samo założenie tematu w postaci „socjalizm i liberalizm" uważam za niedostateczne ujęcie tej sprawy, jako zagadnienia socjalnego. Słowa te w tej dziedzinie tracą moc jako rzeczowniki, a nabierają jej jako przymiotniki.

Tak zw. dzisiaj „kwestja socjalna" usiłuje rozwiązać stosunek nietyle jednostki do jednostki, ile jednostki do społeczności i odwrotnie. Na tem tle powstały, rozwijały się, walczyły i walczą ze sobą dwie doktryny: Indywidualizm i kollektywizm.

Rozwój wypadków ekonomiczno - społecznych w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat uprawnia do tego, aby zaopatrzyć każdy z wyżej wymienionych kierunków ruchu społecznego dwoma przymiotnikami, charakterystycznemi dla każdego z nich. Ustalimy więc nazwę jednego jako:Indywidualizm liberalny, a drugiego jako Kollektywizm socjalistyczny.

Kwintesencja obu kierunków przedstawia się, jak następuje: Indywidualizm liberalny wychodzi z założenia bezwzględnej wolności jednostki i zupełnej swobody jej wobec drugiej jednostki lub zbioru jednostek, czyli społeczności — aż do granic określonych przez kodeks karny. Góruje tu niemal ideał siły przed prawem; jednostka słaba musi być pochłonięta przez silniejszą. Jak kto sobie pościele, tak i wyspać się musi. Jeżeli konieczność utrzymania życia zmusiła kogoś do przyjęcia warunków egzystencji takich, które jego życie, byt rodziny, zdrowie i t. p. narażają na zniszczenie, nie zabezpieczają jego przyszłości, a nie ma siły przeciwstawienia się, tem gorzej dla niego. Na tem tle wybujałego indywidualizmu rozrósł się moloch kapitalizmu, który przez dziesiątki lat tyranizował pracę i dziesiątkował pracowników. Kiedy jeszcze nie mówiło się powszechnie o jakiejkolwiek opiece nad pracą, w połowie XIX w., rząd angielski widział się już zmuszonym wydać „bill" specjalny, hamujący wyzysk kapitału nad pracą.

Ten stan rzeczy musiał oczywiście wywołać reakcję w postaci teorji kollektywistycznej. Nie miejsce tutaj na wykład wyczerpujący o teorjach indywidualistycznej i kollektywistycznej, zaznaczamy tylko, że kollektywizm wpadł w drugą ostateczność: jednostka stała się niczem, spadła do roli małego kółeczka w ogromnej machinie kollektywizmu społecznego. Tam państwo odgrywało rolę stróża kodeksu karnego, tutaj, jak słusznie zaznaczył prof. Straszewicz, staje się wszechwładnym regulatorem życia społecznego.

Kollektywizm stanął na gruzach Bastylji, dzierżąc w jednej ręce kodeks „Praw człowieka" a w drugiej banderę z hasłem: „Wolność, równość i braterstwo", a u stóp jego legła religja a wraz z nią moralna etyka chrześcijaństwa, zastąpiona kultem „Bogini Rozumu".

Hasła wolności, równości i braterstwa były z założenia fałszywe. Bezwzględnej równości na świecie między ludźmi być nie może, tak, jak jej w przyrodzie niema, nawet między liśćmi jednego i tego samego drzewa; ludzie wprawdzie w jeden i ten sam sposób na świat przychodzą, lecz każdy ze sobą inne przynosi uzdolnienia fizyczne i duchowe. I nie wyrówna tego żadna siła ludzka. Wolności bezwzględnej również być nie może, stałaby się ona bowiem swawolą, prowadzącą do bezładu, do anarchji. Co do braterstwa, mamy prawo się zapytać, czy na gruncie wyjałowionym z zasad etyczno - moralnych, ujętych religją, może miłością społeczną kwitnąć drzewo braterstwa?

Co dały ludzkości owe „Prawa człowieka", owo hasło „Wolność, równość, braterstwo"? Dały w pierwszym rzędzie wybujały indywidualizm, siłę przed prawem i owoc tego w postaci wielkiej wojny, spowodowanej wyłącznie przyczynami ekonomicznemi. W drugim rzędzie jako reakcję wybujałego indywidualizmu liberalnego, kollektywizm socjalistyczny, z utopją komunistyczną, demagogiczno - doktrynerski. Indywidualizm wydał jedną klęskę, trapiącą ludzkość:wojny; kollektywizm drugą: walkę klas a na jej tle również sui generis wojnę—rewolucję.

Obie te doktryny czynią z ludzkości tylko jeden wielki narząd trawienia. Obie są typowo materjalistyczne, jako takie stoją na dwuch krańcach jednej i tej samej platformy. Słusznie francuski socjolog nazwał liberalny indywidualizm materjalizmem posiadającym, a socjalistyczny kollektywizm materjalizmem wydziedziczonego proletarjatu. Obie doktryny dzisiaj zbankrutowały i dlatego zgodzić się nie mogę z prof. Straszewiczem, co do żądania nawrotu „do liberalizmu" a właściwie do liberalnego indywidualizmu, gdyż „innej drogi niema".

Inna droga jest.

Obie powyżej omawiane doktryny prowadzą na manowce, po środku „między niemi" idzie prawdziwa droga. Aby znaleźć jej drogowskazy, należy sięgnąć do skarbnicy nauki Chrystusa i podnieść te walory, które pogardzone i podeptane zostały przez rewolucyjnych twórców „Praw człowieka". Trzeba zrozumieć, że społeczność nie jest tylko wielkim żołądkiem, że człowiek nie jest tylko powołanym do produkowania towarów i płodzenia następców - producentów, trzeba zrozumieć, że ma przed sobą cele wyższe — przeznaczenie pozagrobowe.

Po tej drodze prowadzi ruch chrześcijańsko - społeczny, fundowany nie na doczesnych podstawach materjalistycznych, ale na wysokich boskiego pochodzenia walorach etyczno - moralnych.

Na tych walorach ruch chrz. - społ. opiera ustrój społeczny, normując i regulując — z elastycznością właściwą religji chrześcijańskiej, a w szczególności katolicyzmowi—stosunek jednostki do jednostki,. jednostki do społeczności i społeczności do jednostki, jednostki i społeczności do państwa i odwrotnie.

Jakie są te walory?

Chrystus je wypowiedział: „Braćmi jesteście", „Oddajcie każdemu, co się jemu sprawiedliwie należy", „Oddać należy Bogu co boskie, a cesarzowi co cesarskie". Umiłowany zaś jego uczeń, św. Jan apostoł, wołał do ludzkości: „Miłujcie się społecznie".

Nauka chrz. - społ. miast hasła: „Wolność, równość, braterstwo", jako kamienie węgielne ustroju społecznego kładzie: „sprawiedliwość" i „miłość". Kiedy ludzkość, doskonaląc się w swej ciągłej ewolucji, dojdzie do bezwzględnego zastosowania tych dwuch walorów, osiągnie wyżyny etyczno - moralne, na których zagadnienie ustroju społecznego będzie rozwiązane ostatecznie.

Dużo, niestety, w naszem społeczeństwie poświęca się czasu i prasy różnym doktrynom komunistycznym, sekciarskim i t. p., a sprawa ruchu chrz. - społ. jest mało znaną, mało omawianą i mało szerzoną, zapewne dlatego, że jest to ruch... chrześcijański, gdyż szczególnie u naszej inteligencji należy wciąż jeszcze do „dobrego tonu" lekceważyć to wszystko, co zaopatrzone jest w przymiotnik „chrześcijański" lub „katolicki", pod pretekstem, iż nie jest się „bigotem" ani „klerykałem". Tymczasem na Zachodzie odrodzenie religijnych pierwiastków katolickich postępuje olbrzymiemi krokami.

Wobec stanowczego bankructwa materjalistycznych doktryn socjalnych, należałoby zaznajomić się z ruchem chrz. - społ., a przedewszystkiem poznać jego wspaniałą „Magna Charta", wiekopomną Encyklikę „Rerum Novarum": De conditione opificum wielkiego socjologa Leona XIII. Oczywiście, jako list pasterski, nie obejmuje całości zagadnienia, szczegółowo nie rozwiązuje zadań ekonomiczno - społecznych, ale biorąc pod rozwagę największą bolączkę społeczną, a mianowicie stan warstwy pracującej, daje wspaniałą ramową konstytucję ustroju chrześcijańsko - społecznego.

* * *

Szanowny Panie Profesorze, możemy się wszyscy zgodzić z myślą nawrotu do idei liberalizmu, o ile będzie on ujęty prawami etyczno - moralnemi chrześcijańskiej nauki, sprawiedliwością i miłością społeczną. *)

Inż. K. Folkierski.

*) Nie należy utożsamiać ruchu chrześcijańsko-społecznego z kierunkiem politycznym chrześcijańsko-demokratycznym. Wprawdzie wywodzi się on z ideałów chrz.-społecznych i na nich się opiera, ale ponieważ życie jest... życiem, musi się jako kierunek polityczny w swej ewolucji do życia dostosować. Wszak chrześcijaństwo nie ogłosiło odrazu w swem założeniu zniesienia niewolnictwa, sprzecznego z nauką Chrystusową, pojęło bowiem w swej boskiego pochodzenia mądrości, że to spowodowałoby przewrót socjalny, któryby sprowadził zniszczenie; zniszczenie z pewnością większe od wyrządzonego Rosji dzisiejszej przez bolszewizm. Zniesienie niewolnictwa mogło nastąpić dopiero po wiekach ewolucji duchowej i społeczno-ekonomicznej, do której chrześcijaństwo konsekwentnie i wytwale dążyło, tak jak dzisiaj dąży krok za krokiem do etyczno-moralnego podniesienia ludzkości na coraz to wyższe poziomy duchowe.

TEATR MIEJSKI w ŁODZI

KOBIETA, WINO, DANCING.

Komedja w 3-ch aktach St. Kiedrzyńskiego.

Tytuł mało ma wspólnego z treścią sztuki i jeżeli nie jest niefortunnie obrany, to z pewnością z premedytacją, aby trudniej było domyśleć się o co chodzi i aby wolno było wiele się domyślać. Zresztą trzeba przyznać, że nawet ci, którzy oczekiwali najbardziej sensacyjnych emocyj, nie rozczarowali się. Nie było wprawdzie na scenie łóżka, nie było okazji podziwiania pajęczynowych dessous, ale była kanapa i para nóg. Najnowsza sensacja, ostatni krzyk.

W najnowszej komedji obyczajowej niema już miejsca dla łóżka, ani intymności buduarowych. Rekwizyty te mogą przydać się jeszcze chyba tylko w grotesce i dla mamy lub cioci charakterystycznej.

Kobieta współczesna, ta która maszynką włosy strzyże i co tydzień brzytwą kark goli, ta która odwiedza dancingi, na ogólnej sali pije wino, pół czarnej i pali papierosy, zamyka swoją sypialnię i gotowalnię na cztery spusty. Tam chowa wszystkie swoje tajemnice, które zresztą przestały być interesującymi i do których, może tylko jeszcze mąż jakąś wagę przywiązuje.

Współczesny Romeo nie wspina się na balkon sypialni Julji, lecz czeka w bramie i idzie za nią, oceniając jej zalety z kształtu nóg i kroju sukni, nie szepcze zaklęć i przysięg w parku przy księżycu, lecz prowadzi ją do dancingu a harmonję dusz i uczuć doskonale zastępuje harmonja podrygów przy dźwiękach rozszalałego w synkopach jazz-bandu dancingowego.

Trele słowicze, czarowne dźwięki rozśpiewanych skrzypek, smętny, pełen beznadziejnej, błogiej melancholji głos fujarki — co to dziś znaczy wobec saksofonu altowego — Laura, Loreley, Świtezianka — wobec dancing-girls — Filon wobec Verkay'a.

Dom stał się szczegółem, treścią jest dancing, kawiarnia, ulica... Nogom poświęca kobieta więcej starań i pilności, niż kiedykolwiek poświęcała głowie.

* * *

Taką kobietę wprowadza na scenę Kiedrzyński w swojej ostatniej komedji. Genjalną w nogach, każdy krok, każdy ruch to najczystsza muzyka... saksofonu, symfonja jazz-bandu. Nogami wabi, czaruje, kusi, uwodzi, obiecuje, porywa, a słowami kopie. Kolanom nadaje wymowę, a wyraz oczu zamalowała tuszem i szminką.

* * *

Ma także męża, który kontentuje się jej sercem i sypialnią i jest szczęśliwy. Nie kosztuje ją nic to szczęście męża, bo daje to, co dla niej nie ma żadnej wartości i o co nikt w dancingu nie pyta. Dla kochanków ma nogi i wszystkie ich talenty.

* * *

Po co więc łóżko? Przecież do łóżka nie ubiera się pantofelków, podkreślających na błyszczącej posadzce każdą synkopę jazzu, ani błyszczących jedwabnych pończoszek, uwydatniających każde drgnienie nogi w shimmy lub pas tangowem, ani wyrafinowanie skrojonej sukni, nadającej wymowę kolanom, tak, jak powieka i rzęsy nadają wymowę oku. Stół, krzesło, kanapa, pedał fortepjanowy i płat lśniącej posadzki, oto najlepsza oprawa skarbów kobiety z dancingu. Lepszą może jeszcze jest tonąca w błocie ulica. Polecamy gorąco ten efekt sceniczny współczesnym autorom.

* * *

Kobietę, panią Wandę, grała w Łodzi p. Mila Kamińska z Teatru Polskiego w Warszawie. Grała tę rolę koncertowo. Nogi ma genjalne i umiała wykrzesać z nich więcej, niż może autor przeczuwał.

Bez Kamińskiej sztuka Kiedrzyńskiego byłaby pospolitą, płaską pornografją, przykrem widowiskiem nagłego szału erotycznego u starca, a napadu histerji także erotycznej u kobiety w przysłowiowym „niebezpiecznym" wieku. Wykonawczyni w tej sztuce, dzięki wysokiej swej artystycznej kulturze uzupełniła wszystkie braki w kompozycji twórcy i na właściwy artystyczny poziom sprowadziła wszystkie ryzykowne wybujałości.

Z pozostałych wykonawców ról, po za p. Woskowskim, który w swej drobnej, ale charakterystycznej roli męża pani Wandy, był jak zawsze bez zarzutu, świetnie sekundowali p. Kamińskiej pp. Ryszkowski i Krotke. P. Krotke zwłaszcza zrobił olbrzymie postępy w ciągu bieżącego sezonu i skutecznie rozprasza uprzedzenie, które w stosunku do jego zdolności istniało w ciągu ubiegłego i na początku obecnego sezonu. Panu Krotkemu można już dziś wróżyć, że wybije się na czoło zespołu łódzkiego, a w Łodzi zdobywali ostrogi prawie wszyscy głośni i głośniejsi artyści.

P. Jarkowska grała rolę nieodpowiednią dla siebie.

* * *

Sztuka Kiedrzyńskiego nie jest arcydziełem, niemniej jednak zaliczyć ją trzeba do najlepszych współczesnych polskich utworów scenicznych i do rzędu najlepszych aktualnych komedyj polskich i obcych, jakie widzieliśmy na scenach polskich. Jest w niej dużo oryginalności w samej kompozycji i jest owocem trafnej i przenikliwej obserwacji typów nie wyjątkowych, lecz przeciętnych, charakterystycznych dla bieżącej chwili. Jest to kartka, jedna z tysiąca, które składają się na tomy historji kultury i obyczajów epoki. Kartka, która w każdym razie kwalifikuje się do zbioru.

Zast.

SPRAWA PRZYSZŁEGO SEZONU.

Zagadkowo przedstawia się dotychczas przyszłość teatru miejskiego w Łodzi. Dyr. Szyfman, który dzierżawi ten teatr w obecnym sezonie domaga się znacznego podniesienia zapomogi miejskiej. Za obecny sezon dyr. Szyfman otrzymał w gotówce 200 tysięcy złotych tytułem zapomogi, budynek teatralny z opałem, oświetleniem i szeregiem świadczeń, miasto nabywało od niego dekoracje i kostjumy, sprawione do poszczególnych sztuk, zwracając mu 75 proc. wartości i pokrywało koszta remontu i naprawek w gmachu teatralnym. Wartość tych wszystkich świadczeń obliczać można conajmniej na 400 tys. złotych. Tyle wydano w tym roku.

Na rok przyszły dyr. Szyfman żąda 400 tys. złotych w gotówce (w tem 100 tys. złotych stanowić ma pokrycie tegorocznego deficytu) oraz wszystkie pozostałe świadczenia w niezmienionej wysokości i rozmiarach.

Oznacza to wydatek conajmniej 600 tys. złotych w ciągu przyszłego sezonu, okrągło 2000 złotych dziennie. Ewentualnie gotów jest dyr. Szyfman prowadzić teatr na rachunek miasta.

Konsternacja zarówno w magistracie jak i w radzie miejskiej a także wśród ludności, interesującej się teatrem i gospodarką miejską, jest z tego powodu ogromna.

Bo jest nad czem się zastanowić. Trzeba przyznać, że dyr. Szyfman wykonał to, do czego się zobowiązał. Teatr był prowadzony bez zarzutu, repertuar umiejętnie dobierany z uwzględnieniem właściwości środowiska. Frekwencja z tego powodu była zadawalniająca. Względy kasowe nie miały decydującego wpływu na dobór repertuaru i nie obniżały jego poziomu.

Oddanie teatru w inne ręce po dyr. Szyfmanie zmrozi budzące się zaufanie publiczności łódzkiej do teatru polskiego i co ważniejsze pogrąży sprawę budowy gmachu dla tego teatru. Z drugiej strony 600 tys. złotych, wydatkowanych na teatr wobec braku szeregu prymitywnych urządzeń miejskich, służących ludności, to także nie bagatela.

* * *

Wyłoniła się myśl, by teatr miejski zlikwidować, natomiast wydatniej subsydjować teatr popularny dla ludności robotniczej i około 250 tys. zł. rocznie przeznaczać na budowę gmachu teatralnego. Zdaniem naszem koncepcja ta jest nierealna. Teatr Popularny działalności swej nie rozszerzy, bo niema odpowiedniego lokalu. Teatr ten przeszedł już ząbkowanie, znalazł swoją publiczność, doskonale się do niej dostosował, prowadzi działalność bardzo pożyteczną i jest samowystarczalny. Subsydjowanie zwichnie tę działalność. Jedyne, co jest dopuszczalne, to zakupywanie przedstawień przez miasto i rozdawanie bezpłatnie biletów między związki i organizacje robotnicze. Subsydja gotówkowe pobudzą zespół tego teatru do eksperymentów repertuarowych, wzniecą ambicje, wybiegające poza środowisko i wypłoszą z widowni obecną publiczność a nowej nie sprowadzą.

Przeznaczanie rocznie 250 tys. złotych na budowę gmachu, którego kosztorys wynosi kilka miljonów byłoby niecelowe. Roboty prowadzone w tak drobnych ratach podniosłyby podwójnie ogólny koszt — potwierdzi to każdy, kto trochę chociaż zna się na sprawach budowlanych. Zresztą w Łodzi z wielu innych względów prowadzenie większych robót w zarządzie własnym miasta jest niewskazane, a przedsiębiorca prywatny, żaden nie podejmie się roboty wielomiljonowej w ułamkowych ratach rocznych.

* * *

Wyjście widzimy jedno. Przyjąć ofertę p. Szyfmana na prowadzenie teatru na rachunek miasta. Zaangażować go, jeśli się zgodzi na rzeczoznawcę w sprawach artystycznej administracji teatru i repertuaru. Sprawy finansowe, kontraktowe i personalne artystów, oddać komisji teatralnej pod przewodnictwem zamianowanego przez miasto dyrektora. Na członków komisji powołać osobistości z poza magistratu i rady miejskiej. Budżet komisji ustalić na 300 tys. złotych plus świadczenia z których korzystał dyr. Szyfman. (300 tys. złotych gotówką magistrat zgodziłby się ofiarować p. Szyfmanowi).

Regulamin, zatwierdzony przez radę miejską, określałby jasno kompetencje dyrektora i rzeczoznawcy. Komisja byłaby czynnikiem rozjemczym i kontrolującym.

* * *

Innego rozwiązania nie widzimy. Sądzimy, że nawet jeśli dyr. Szyfman zgodziłby się prowadzić teatr za 300 tys. złotych gotówkowego subsydjum — należy raczej prowadzić go w sposób wyżej wspomniany. Teatr tak prowadzony mógłby, zwłaszcza w Łodzi spełnić lepiej swoje zadanie niż teatr oddany w dzierżawę, miałby bowiem szereg możliwości, których prywatny dzierżawca nie może wykorzystać.

Do likwidacji teatru — jedynego polskiego teatru w półmiljonowem mieście o ludności mieszanej narodowościowo — nawet myśleć nie wolno.

Łódź jest innem środowiskiem niż Warszawa i co w Warszawie kuleje, w Łodzi może świetnie się przyjąć. **(z).**

Rynek pieniężny i giełda

Ostatnie dni dowiodły bezsprzecznie, że dążymy szybkim krokiem do normalnych stosunków.

Olbrzymie ofiary społeczeństwa, ponoszone w ostatnich latach nie poszły w całości na marne, gdyż okazało się, że pomimo najróżnorodniejszych eksperymentów i wydarzeń, podstawy naszej organizacji ekonomicznej są trwałe i niewzruszone i mogą stawić czoło nawet wyuzdanej spekulacji. Ta trwałość podstaw będzie najlepszym fundamentem dla przyszłej polityki ekonomicznej rządu p. prof. Bartla—która, tuszymy, będzie mądra i celowa i zakończy wreszcie kilkuletni okres chaosu gospodarczego.

Najbardziej spokojni możemy być o przyszłość złotego. Bank Polski trzyma się ściśle ustaw, gwarantujących stosunek złota do banknotów; złoty ma ciągle ustawowe, a nawet wyższe pokrycie.

Zapas walut z dnia na dzień rośnie a chociaż ostatnia dekada maja była wskutek wielkich płatności zagranicznych nieco gorsza, to jednak pierwsze dni czerwca wykazały znowu poważne wpływy.

Bilans handlowy jest nadal mocno aktywny. Ostatnie cyfry, podane w jednem z ostatnich naszych sprawozdań dają najlepsze temu świadectwo. Równolegle poprawia się stale nasz bilans płatniczy.

Zrównoważenie budżetu jest kwestją może najbliższych miesięcy.

Najdalej idące oszczędności, przed któremi rząd obecny napewne się nie cofnie, nie mając nacisku pewnych stronnictw schodzą się ze zwiększeniem wpływów podatkowych. Daniny publiczne i monopolowe dały bowiem w maju 121 miljonów złotych, podczas gdy w styczniu r. b. uzyskał Skarb Państwa z tego działu 111,4 milj. zł., w lutym 95,9, w marcu 102,8, w kwietniu 119 milj. zł.

* * *

Bilans Banku Polskiego z dnia 31 maja 1926 r. wykazuje wzrost zapasu złota o 57 tysięcy złotych do sumy 134,36 milj. zł.

Zapas walut i dewiz zmniejszył się o 1,3 milj. zł. brutto, osiągając sumę 53,4 milj. zł. Równocześnie zmniejszyły się jednak także zobowiązania walutowe i reportowe o 1,49 milj. zł., wobec czego zapas walut i dewiz netto zwiększył się o 139 tysięcy zł. Portfel wekslowy powiększył się o 2,4 milj. złotych do sumy 302,9 milj. zł., pożyczki zabezpieczone papierami wartościowymi o 910 tysięcy złotych do sumy 30,3 milj. zł. Rachunki żyrowe i inne zobowiązania zmniejszyły się o 30,0 miljonów złotych do 73,1 milj. zł.

Obieg biletów bankowych wzrósł o 33,4 milj. zł., natomiast stan monet srebrnych i bilonu przyjęty do zapasu Banku, zmniejszył się o 532 tys. zł.

Ujawnienie wykazu dekadowego Banku Polskiego nie oddziałało tym razem prawie zupełnie na kształtowanie się kursu złotego.

* * *

Sytuacja walutowa w okresie sprawozdawczym znacznie się poprawiła. Giełdy niemieckie, które do niedawna grały stale na zniżkę złotego, rozpoczęły pod wpływem wiadomości o uspokojeniu się sytuacji wewnętrznej w Polsce i szeroko zakrojonej interwencji Banku Polskiego — grę na jego zwyżkę — zapowiadającą chwilowo większe korzyści.

Banki bowiem niemieckie kierują się tak długo niezdrowym szowinizmem, jak długo nie narusza to ich kieszeni.

Chodzą słuchy, że niektóre banki berlińskie, które zawczasu zorjentowały się w sytuacji i rozpoczęły sprzedawać dolary, a kupować złote, zrobiły w przeciągu kilku dni znaczne majątki.

Pod wpływem wielkiego popytu podniósł się złoty w przeciągu tygodnia na giełdzie berlińskiej o 8 proc., gdańskiej o 4 i pół proc., wiedeńskiej o 8 proc., w Zurychu zaś o 12%.

Ponieważ przez kilka dni płacono na prywatnym rynku warszawskim za dolary w stosunku do złotego o kilkanaście punktów więcej aniżeli na rynku berlińskim — rzuciły wielkie banki niemieckie za pośrednictwem swych korespondentów w Katowicach i Sosnowcu wielkie sumy dolarów na rynek polski. Ten fakt był właściwym powodem podjęcia przez miejscowych spekulantów gry na zniżkę walut zagranicznych. Kto się prędzej zorjentował — wygrał.

Grę na zniżkę zainicjonowało kilku bankierów, sprzedając na giełdzie oficjalnej i po za giełdą waluty poniżej kursu, płaconego przez Bank Polski. Za wielkiemi graczami poszli mali.

Bank Polski przez kilka dni był oblężony przez spekulantów i publiczność, chcących zrealizować swoje zapasy walutowe. Dolary notowane jeszcze 4 b. m. 10,50—10,65—10,32 i pół, spadły 5-go na 10,10—10 złotych. W sobotę wieczorem tendencja znowu przejściowo się wzmocniła, a dolary uzyskały kurs 10,25—10,40, w poniedziałek płacono za nie 10,20—10,28, we wtorek 10,35—10,42 i pół—10,35, w środę 10,26 i pół — 10,22 i pół — 10,17 i pół — 10,25—10,22, umowy terminowe na 15 czerwca zawierano na 10,17 i pół za 1 dolar.

Na giełdzie oficjalnej wynosił obrót dzienny przeciętnie 120,000 dolarów, Bank Polski pokrywał całe zapotrzebowanie bez jakichkolwiek ograniczeń, wzbudzając tem jeszcze większe zaufanie do złotego. Dewiza na New Jork i gotówka dolarowa spadły na 10 zł. i utrzymały się na tym poziomie. Z walut europejskich kształtował się szczególnie nisko kurs franka francuskiego i belgijskiego. Za ruble złote płacono w środę 5,35, co odpowiada stosunkowi 10,22 za 1 dolar przy parytecie złota 52,50.

* * *

Na rynku akcyjnym panował nastrój ożywiony. Tendencja naogół lekko się wzmocniła. Poszukiwano wszystkich gatunków akcyj przemysłowych. Bankowemi robiono małe obroty. Akcje Banku Polskiego początkowo mocne, wkońcu nieco się osłabiły. Pożyczki państwowe utrzymały się naogół na poprzednim poziomie.

W obrotach pozagiełdowych poszukiwano 8 proc. Listów Zastawnych Banku Rolnego, opiewających na złote w złocie, za które płacono 110 zł. za 100 nominalnej wartości.

Popyt na listy te wzmógł się wskutek większego zapotrzebowania na kaucje i spłaty. Bank Rolny i urzędy przyjmują je bowiem po 140 złotych za 100 złotych.

Według relacji złota, wynosiła ich wartość nominalna dnia 9 b. m. — 192,95 złotych za 100 złotych.

Awil.

Echa strejku angielskiego

Jaki morał — jaki rezultat?

Londyn, w maju.

Zaczniemy od drugiego. W swej głównej deklaracji, wygłoszonej zaraz po wybuchu strajku powszechnego, premjer Baldwin postawił za główny warunek podjęcia negocjacji z przedstawicielami Kongresu Związków Zawodowych, który imieniem górników „sympatyczny strajk" innych związków organizował, odwołanie rozkazu strajkowania, poczem zaś zgodzi się na ewentualne czasowe subsydjowanie przemysłu górniczego do chwili ukończenia (prawdopodobnie) jego reorganizacji na podstawach opracowanych przez komisję sir Herberta Samuela.

Deklaracja ta, codziennie zamieszczana na łamach oficjalnej „British Gazette", w połączeniu z intensywną organizacją służby wolontarjuszy, jak i wysoce efektywną kampanją legalno - informacyjną izby gmin oraz w znacznej mierze „Daily Mail'a" i innych, mniej energicznych od niego, organów prasowych, odniosła zatem ten skutek, że T.U.C. (Trade Unions Congress) poszedł do Canossy to znaczy na Downing Street i nielegalny oraz antykonstytucyjny strajk odwołał, godząc się na propozycje rządowe. Netto rezultat: 1) prolongata subsydjum do sumy prawdopodobnie większej niż ostatnia, gdyż nie sposób przypuścić, iż uda się rządowi w ciągu jednego roku cały ogromny przemysł węglowy zreformować i na ekonomicznych podstawach osadzić, 2) olbrzymie straty materjalne, w handlu obliczane w przybliżeniu na 50,000,000 funtów szterl., czyli po 5 miljonów za każdy dzień strajku, poza stratą rynków wykorzystanych głównie przez Niemcy, jako najpoważniejszego konkurenta Anglji w Europie, 3) szkody wyrządzone środkom komunikacji przez sabotaż, bijatyki i t. p. awantury, 4) przykrości i niewygody nastręczone całemu społeczeństwu sporem, w którym bezpośredniego interesu nie miało. Jest to zatem rezultat ujemny i niewiele problemów rozwiązujący. Zasada ekonomiczna, o którą rząd walczył, chcąc przerwać subsydjum, runęła i powrócono do systemu finansowania bankrutującego przemysłu, przeciw czemu cała światła opinja publiczna głównie oponowała. Taką procedurę nazywają Anglicy „muddling through", czyli sprawy połowicznie załatwiać, brnąc naprzód, jak się da. Anglję przy budżecie ośmiuset miljonów funtów niezawodnie stać na to.

Warunki, na jakich strajkujący zgodzili się strajk odwołać, dowodzą jednak, że rząd p. Baldwina materjalnego zwycięstwa nie odniósł i w zasadzie problemu węglowego nie rozwiązał.

Zresztą strajk górników wszak trwa nadal i końca nie widać ich oporowi, pomimo, że międzynarodowa konjuktura zupełnie wyraźnie zdaje się wskazywać, że przyszłość węgla w ogólności będzie się stale zmniejszać w miarę, jak cywilizowane społeczeństwa będą posługiwać się naftą i elektrycznością. Jest wykluczonem, aby górnicy angielscy o tem nie wiedzieli, więc opór ich należy kłaść na barki raczej ich demagogicznych prowodyrów w osobach pp. Cook'a i Smith'a, że zmuszają ich do przeciągania walki, która w gruncie z racji zewnętrznych ekonomicznych warunków jest zupełnie beznadziejna. Każdy dzień strajku poza tem przynosi olbrzymie straty nietylko samym górnikom, żyjącym obecnie z funduszów

ULICA

„Ulica" zastąpiła dziś określenie — profanum vulgus. Ten sam wyraz pogardy, ten sam grymas obrzydzenia, ta sama treść wewnętrzna, gdy się mówi: ulica! A jednak nie ze wszystkiem jest dzisiejsza ulica synonimem motłochu. Jaskrawa, ruchliwa, krzykliwa — jest obrazem i wyrazem nastrojów, gdyż każdy z nas mieści się w ramach ulicy.

Jej dzień powszedni mija szaremi godzinami wyznaczonej pracy. Nie spostrzega się już ani ranków, ani południa, ani nocy. „Panta rej" ulicy jest prawem oczywistem i niezmiennem. Tak, niezmiennem aż do chwili, kiedy bieg spraw codziennych zamąci, wzburzy, poderwie wybuch nigdy niewygasłego wulkanu życia. Bo wstrząs jest tą skondensowaną, zwartą energją życia, szukającą ujścia wąskim kraterem, jest tą lawą płomienną, użyźniającą grunt dla zawsze odnawiającej się, a nigdy nieustającej pracy zasiewów i zbiorów.

Jeżeli więc ulica wrze i kipi, jeżeli tumultem i krzykiem wyraża burzliwą chwilę — to znowu my jesteśmy zawarci w tej wrzawie i nasz entuzjazm, protest, krzyk oburzenia i krzyk radości stanowi cząsteczkę tej sumy, którą zwiemy — opinją, nastrojem, ulicą.

Jesteśmy pokoleniem, które żyje w epoce raz poraz powtarzających się wstrząsów. Wczesna młodość nasza była kołysana śpiewką tęsknoty i oczekiwań mierzonych w nieskończoność. Nie znaliśmy precyzyjnych wskazań, obliczonych na dzień i godzinę. Jak po szerokim stepie dowolnych marzeń bujała górna i chmurna fantazja, powściągana jedynie cuglami sceptycyzmu. Świat naszego dzieciństwa miał jedną tylko granicę — niespełnienie. A oto wbrew romantycznym, stepowym rozigraniom, wbrew bezcelowej gonitwie ku skrajom mgławego horyzontu, straszliwy wstrząs wojenny odmienił Europę i zrealizował dla nas to, co wydawało się, że jest tylko poezją na użytek tkliwych dusz.

A widzieliśmy wojnę, nietylko znaczoną tragiczną linją okopów, nietylko wytrwałą i bohaterską, krwawą i nieszczęsną, ale słyszeliśmy także pogłos jej stóp po ulicach miasta. Rozpłomieniona entuzjazmem przebiegała lotem Nike na czele tłumów przez tunele ulic. Czasem śmiertelny strach wymiatał ulice i głuchą pustką wiał wokół narożnic.

Ulica stolic i dużych miast, płochliwa to znów zuchwała, żałobna to znów radosna, była biuletynem wojny, pisanym przez nas, była naszym nastrojem. Każde miasto Europy mówiło inaczej — reagowała ulica Paryża, Londynu Berlina, Petersburga, Wiednia, Warszawy, Lwowa... Inaczej przemawiały krzywe uliczki miasteczek, inaczej długa ulica polskiej wsi. Nawet bezmyślność i najciemniejsza ignorancja dawała w sumie istotny wyraz nastroju, a wypadkowa krzyżujących się różnorodnych „orjentacyj" była przecież zawsze tą jedyną, najbardziej racjonalną linją wytyczną, którą bezwiednie wykreślała „ulica".

W mojej tułaczce wojennej, widząc ulicę i słysząc jej mowę, nauczyłam się cenić jej mądrość. Szczególnie jednak uderzył mnie rozsądek ulicy polskiej. Podziwiam dyscyplinę ulicy polskich miast, miasteczek i wsi. W entuzjazmie i zawierusze naszej ulicy jest kategoryczny program i celowość niemal zorganizowana. Jej odruch ma znamiona planowości. Nie myślę tu oczywiście o ulicy, która jest narządziem agitacji i tem samem działa pod nakazem grup lub jednostek. Ulica rozagitowana jest objawem anormalnym i nie można jej nazwać odruchem opinji społecznej. Mówiąc o „ulicy", uwzględniam li tylko jej samorzutną akcję.

Tak właśnie samorzutnie rozbrajała ulica warszawska niemieckie wojsko, okazując sprawność niemal żołnierską, a umiar godny mężów stanu. Tak też samorzutnie rzuciła się ulica Lwowa ku obronie przeciw zamachowi ukraińskiemu. Warszawa, zrzucająca z siebie więzy okupacji, była pełna radosnej dumy, Lwów, broniący swojej polskości, miał oblicze poważne, skupione. Ulice i place tego najserdeczniejszego z polskich miast zamilkły, rozwarły się szeroko, to znowu ścieśniały się, najeżały barykadami. Domy cierpliwie brały w siebie bolesne rany. Lwów przystosowywał się, poddawał trudnym planom strategicznym, ulica wspomagała walczących, ulica po odniesionem zwycięstwie obwołała swój triumf.

Kiedy w pierwszych dniach stycznia 1919 roku przybyłam z broniącego się jeszcze Lwowa do Warszawy, trudno mi było oprzeć się niechęci, jaką budziła we mnie stolica. Mimowoli zestawiałam głodne, w mrokach tonące miasto, pozbawione wody, obrzucane dniem i nocą bombami, ostrzeliwane z okolicznych wzgórz pociskami armatniemi, miasto bohaterskie i ofiarne z tą Warszawą huczną, gwarną, sytą. Lekkomyślny uśmiech, cechujący wszystkie stolice świata, uśmiech niezawiniony i niemal konieczny, raził jak grzech rozpustny. Nie było w tem winy Warszawy, ale przybyłam tu z innej „ulicy", z innego nastroju i obcy był dla mnie wyraz tego miasta, które znałam inne z obrazów Grottgera.

Bo właśnie nikt tak nie odczuł duszy „ulicy", jak Grottger. Kto pogardza ulicą, kto się od niej odsuwa jako od profanum vulgus — niech spojrzy na „Warszawę" Grottgera. Zrozumie wtedy, że zbiorowa dusza ulicy może być po stokroć, po tysiąckroć spotęgowanym bólem jednostki. Ale wtedy, w styczniowych dniach 1919 r. Warszawa była dla mnie dysonansem. Nie rozumieliśmy się. Moje pełne jeszcze przerażenia, pełne trwogi oczy odwracały się od przechodniów, od domów, pyszniących się nienadwyrężonemi fasadami, od okien, lśniących gładkiemi, nieroztrzaskanemi szybami. Partyjny jazgot ulicy warszawskiej mierził bezsensownością. Zamach na Naczelnika Państwa (pierwsze dni stycznia 1919 r.!), prasa krzykliwa, niepohamowana, cukiernie przepełnione, stosy ciast i pączków, stroje niewiast i dandysów — ta cała ówczesna „ulica" Warszawy była czemś straszliwie krzywdzącem dla przybysza ze Lwowa. Przyznaję, że długo jeszcze pozostał we mnie żal, żal niesłuszny do stolicy, której ulica zdawała się nic nie wiedzieć o krwawej tragedji ulicy Lwowa. Nie rozumiałam jeszcze, że ulica Warszawy jest i n n a, lecz przez to nie mniej warta.

Przekonałam się o tem w czasie najazdu bolszewickiego. Był gorący lipiec 1920 r., kiedy dla mnie Warszawa się przebudziła. Pisałam wtedy do lwowskiej „Gazety Wieczornej": „Dopiero dziś w Warszawie czuje się każdy — jak w Polsce. Dziś dopiero Warszawa nietylko cieszy się żołnierzem, ale mu ufa bezgranicznie. Dziś dopiero, patrząc na mapę i znacząc z boleścią ruchomą linję bojową, obywatel warszawski widzi Polskę, sięgającą daleko poza rogatki mokotowskie, a obrębioną krwią wszystkich stanów".

Raz jeszcze podkreślam, że Warszawa przebudziła się d l a m n i e, bo oto ja znalazłam się już w ramach jej ulicy i jednakiem tętnem biło moje serce z sercem ulicy Warszawy. Co więcej, musiałam wtedy oddać pierwszeństwo dyscyplinie warszawskiej i stwierdzić, że stolica Rzeczypospolitej nie ulega panice. Przy całej gorączce czynu, porwana samorzutnym odruchem — była pogodna, działała sprawnie, była zorganizowana i spokojna. Cud nad Wisłą miał swoje poczęcie w postawie ulicy warszawskiej. Naraz przejrzałam, że niema na świecie inteligentniejszego i bardziej ofiarnego proletarjatu nad warszawski, że kobieta warszawska w niczem nie ustępuje kobiecie lwowskiej, że obywatel vulgo „b u r ż u j" warszawski jest najmniej strachliwy na świecie, a inteligencja warszawska pozostała wierna swojej wspaniałej tradycji. Długie, równo rzucone ulice warszawskie były pełne wrzawy i pełne ufności. Już stały w ogniu okoliczne miasteczka, już huk armat grał na szybach okien, ale ulica nie poddała się popłochowi, nie było bladego strachu w jej jasnych, pełnych ufności źrenicach.

I znowu teraz w dniach majowych, kiedy najstraszniejsza z wojen — bellum civile na ulicach Warszawy obrała sobie teren bojowy znowu „ulica" złożyła dowód swojego roz-

strajkowych i zapomóg rządowych(!), bowiem szanse odrodzenia ich przemysłu automatycznie zmniejsza, lecz również paraliżuje powoli dobrobyt innych od niego zależnych przemysłów.

Morał sam się stąd nasuwa. Strajk powszechny był przy obecnej konjukturze ekonomicznej Anglji błędem karygodnym, dowodzącym, że poza zrozumiałą obroną zarobków i przywilejów górników operowały również inne siły, którym pretensje górników posłużyły tylko za motyw do otwartej walki z rządem i społeczeństwem. Zapowiedziana kooperacja zagranicznych związków oraz prezenty sowieckich organizacyj są aż nadto wyraźnym dowodem, że chodziło także o polityczny przewrót. Efektywna kampanja prasowa („Gazette" i „Daily Mail"), poparta szybką organizacją obrony społecznej, wywarłaby niezawodnie decydujący wpływ na ostateczny rezultat strajku, nie mniej jednak fakt, że strajk taki możliwy jest w przyszłości, powinien głęboko zastanowić wszystkich pragnących odrodzenia Anglji i reszty Europy. Z Anglji bowiem płynie lekcja najbardziej jaskrawa, do czego może doprowadzić metoda skrajnej klasowej demagogji, poparta przez żywioły zgoła państwu wrogie.

Stefan Kleczkowski.

sądku i niezrównanej dyscypliny ducha. A przecież zważyć trzeba, że tym razem ulica nie była w jednolitym nastroju. „Dwa obozy" w ramach ulicy mieściły się obok siebie. Przyczem salwy karabinowe i pogłos bitwy działają podniecająco, rozpalając nawet podświadome przeciwieństwa poglądów i zapatrywań. Ulica warszawska w ciężkich dniach majowych myślała i czuła i pragnęła dwojako. Zapewne plebiscyt, urządzony w tych dniach, dałby większość głosów za Marszałkiem, ale mimo to ulica nie była zgodna. Tem większy więc budziła podziw. Żadnych bójek, starć, kłótni. Żadnych rabunków, gwałtów, kradzieży. Setki tysięcy ludzi zapełnia wnęki ulic, wystaje na rogach, tłumi się w bramach. Nikt nie umyka z zagrożonych placówek, nikt nie poddaje się panice, nikt nie przesądza wyniku, nikt nie odczuwa nienawiści.

Dzieje znają krwawe rewolucje, które rzucały na siebie stronnictwa i rozpalały najwewnętrzniejszą nienawiść na długie lata, roz palały mściwość i odwety wrogie. Rewolucja majowa jest więc bezprzykładna. Ulica warszawska potrafiła bowiem rozumniej od prowodyrów partyjnych, rozumniej od prasy rozstrzygnąć sprawę w swojem nieomylnem wyczuciu. Ulica pojęła wbrew nagonce partyjnej, że przyczyny wydarzenia tkwią głębiej, że nie o rozłam szło, ale o zespolenie i zjednoczenie społeczeństwa pod hasłem odrodzenia moralnego. I dlatego też żaden wybryk ulicy nie popsuł nastroju, żaden dysonans nie wyszedł z tłumu i nie skrzywdził tragicznego bohaterstwa braci walczących i krwią swoją piszących inicjał dla nowej karty dziejów Polski odrodzonej moralnie.

Ale pisząc tak o ulicy w Warszawie i oddając jej zasłużony hołd — stwierdzam równocześnie zalety ludności warszawskiej. Przypatrzcie się więc dobrze „ulicy", wy, którzy chcecie haftować losy Polski na kanwach partyjnych, przypatrzcie się jej dobrze i posłuchajcie, co mówi! Czyż nie zapowiada wam, że jej zdrowy rozsądek, jej dyscyplina, jej takt i jej serce rozstrzygną zawsze najlepiej? Nastrój, opinja, ulica — oto potęga, która przeciwstawi się złu, a wspomoże czyn dobry i wielki.

J. Stycz.

Teatry warszawskie

Uchwała magistratu warszawskiego, dotycząca zamknięcia dwuch teatrów miejskich, Letniego i im. Bogusławskiego, trwa narazie w swej mocy. Rozstrzygnąć ją może ostatecznie Rada Miejska, ale ta stanęła sama wobec grozy swej śmierci: oto lewica radziecka złożyła wniosek o natychmiastowe rozwiązanie Rady i zorganizowanie nowych wyborów. Pragnąc żywot swój przedłużyć nieco i licząc na zmianę stosunków po Zgromadzeniu Narodowem, Rada Miejska odroczyła swe posiedzenia do dnia 10 b. m. Niema nadziei, aby ten manewr przydał się na co. Rozpolitykowanie się warszawskiej Rady Miejskiej uczyniło ją oddawna niezdolną do pracy i cała stolica z utęsknieniem oczekuje nowych radnych, którzy zwrócą uwagę przedewszystkiem na gospodarcze potrzeby miasta.

Istnieje obawa, że podczas tej rewolucji w samorządzie warszawskim nie będzie czasu na regulowanie spraw teatralnych, t. j. iż uchwała magistratu, co do zamknięcia teatru Bogusławskiego i Letniego zostanie wykonana. Dyrekcje i zespoły teatrów tracą już nadzieję utrzymania swych placówek, a Związek Artystów Scen Polskich staje wobec położenia bardzo trudnego, gdyż powiększy się niewątpliwie w przyszłym sezonie ilość aktorów „bezrobotnych". Z tego teatralnego przewrotu wyniknie narazie jedna korzyść: pewna ilość wybitniejszych artystów, którzy się nie pomieszczą w teatrach warszawskich, wzmocni zespoły teatrów prowincjonalnych, ogromnie w ostatnich latach osłabionych wskutek powstania w stolicy nadmiernej ilości teatrów i teatrzyków.

Magistrat warszawski ograniczy więc w przyszłym sezonie swą działalność teatralną do prowadzenia dużych scen reprezentacyjnych: Opery i Teatru Narodowego. Przez samą naturę swej organizacji i wskutek różnych obciążeń ubocznych (200 emerytów i różne świadczenia) teatry te będą deficytowe. Dyrekcja niedobory ich określa na przyszły sezon w sumie 2,800,000 złotych.

Opera, która w swym stałym repertuarze posiada 33 utwory (przeważnie obce) pójdzie zwykłym swym trybem, t. j. wystawi kilka dzieł nowych, a koniec sezonu ratować musi występami gwiazd. Niemuzykalna publiczność warszawska uczęszcza do opery słabo a nasza krytyka muzyczna jest jeszcze bardziej wymagająca, niż krytyka dramatyczna. Faktem jest, że wystawianie w Operze warszawskiej ośmiu utworów tygodniowo jest zbytkiem kulturalnym, nie odpowiadającym potrzebie. Nawet opera paryska poprzestaje na czterech widowiskach tygodniowo, a przecież Paryż posiada stale 800 000 cudzoziemców, którzy zasilają frekwencję operową.

Opera warszawska pracuje w warunkach niezmiernie trudnych. Personel solistów pobiera (z wyjątkiem dwuch tenorów) gaże znacznie mniejsze, niż artyści teatrów dramatycznych, ale praca jest tu bardziej intensywna i wyczerpująca. W ubiegłym sezonie dyr. E. Młynarski wystawił dwie nowe opery polskie: „Zygmunta Augusta", Jotejki i „Zemstę", Noskowskiego, a obok tego dał w nowej inscenizacji i nowej wystawie: „Filenis", Statkowskiego i „Straszny Dwór", Moniuszki. Obecnie szykuje się nowa opera K. Szymanowskiego „Król Roger", która wystawiona będzie jeszcze przed zamknięciem sezonu. Z utworów obcych wystawił dyr. Młynarski „Borysa Godunowa", „Giani Schicchi", Pucciniego, „Daphnis i Chloe", Ravela i „Pietrka", Strawińskiego, wznowił zaś „Sprzedaną narzeczoną" Smetany i „Cyrulika Sewilskiego".

Takim wysiłkiem repertuarowym nie może się pochwalić żadna z wielkich oper europejskich, posiadających znacznie liczniejszy personel solistów i bogatsze środki. Jeżeli dodamy do tego dodatkową pracę muzyczną dyr. Młynarskiego (jak np. rewizja archaicznej instrumentacji „Strasznego Dworu"), zrozumiemy, jak niesłuszne są zarzuty krytyki pod adresem kierownictwa opery. Nie jest ono w stanie przełamać niemuzykalności warszawskiej. Sześciomiesięczny sezon byłby zupełnie dostateczny w takiem mieście, jak Warszawa, gdzie nowe, popularne w całym świecie, opery nie mogą wypełnić jednej trzeciej sali widzów. W takich warunkach wytwarza się błędne koło: zarząd miasta narzeka nieustannie na znaczne deficyty Opery i grozi co roku jej zamknięciem, a tymczasem niema takiej siły na świecie, któraby mogła obudzić w publiczności warszawskiej dostateczne zamiłowanie muzyki.

Nowy dyrektor generalny teatrów, p. A. Śliwiński, który zabrał się z wielką energją do reorganizacji gospodarczych stosunków teatralnych, największą i słuszną wagę przykłada do należytego postawienia Teatru Narodowego. Na czele tego teatru staje nowy kierownik. Będzie on miał przed sobą trudne zadanie. Nie ulega wątpliwości, że nazwa „Teatr Narodowy" nadana została tej scenie przedwcześnie, jeszcze bowiem nie posiadamy wystarczających na to zasobów w dziedzinie polskiej twórczości dramatycznej. W ciągu ubiegłego sezonu Teatr Narodowy był gwałtownie atakowany przez krytykę. Oddawna zresztą istnieje szczególna nierównomierność w traktowaniu przez recenzentów teatrów miejskich a teatrów p. Szyfmana: według ich opinji, wszystko, co się grywa w Teatrze Narodowym np. jest słabe lub wystawione źle, wszystkie zaś przedstawienia w teatrach szyfmanowskich zasługują na pochwałę. W tym stosunku krytyki łatwo dostrzec ostrą niesprawiedliwość, wynikającą głównie z faktu, iż teatry miejskie są pod opieką magistratu, który w zarządzaniu niemi stosuje takie same metody, jak w zarządzaniu innemi działami gospodarki miejskiej, t.j. tramwajów, kanalizacji, gazowni etc.

Z punktu widzenia formalnego, Teatr Narodowy, skrępowany ustawą, która mu nakazuje wystawiać przedewszystkiem sztuki polskie, — był w porządku. Od 1 września przeszłego roku wystawiono tam następujące sztuki: Damy i huzary, Lampkę oliwną, Zegadłowicza, Żeglarzy ,Szaniawskiego, Hetmana Żółkiewskiego, Brończyca, W cichym dworze, Morstina, Politykę i miłość, Rączkowskiego, Agne, Erbena, Księżniczkę żydowską, Grubińskiego. Nadto dano dwie sztuki obce: Fausta i Wroga ludu.

Niestety, utwory te nie zapewniły teatrowi powodzenia. Sztuki polskie witane były przez krytykę wrogo, a przez publiczność — nieufnie. Długoletni system sprowadzania z zagranicy najpopularniejszych sztuk bieżącego repertuaru zrobił swoje: od sztuk polskich wymaga się, aby były lepsze od tamtych, więc — padają jedna po drugiej a Teatr Narodowy otoczony jest fałszywą legendą, iż nie spełnia swych zadań, gdyż... nie daje wybitnych utworów oryginalnych, tak jakby od jego nazwy zależał poziom twórczości rodzimej. Przy takim układzie stosunków Teatr Narodowy będzie musiał oprzeć się w swej działalności na repertuarze retrospektywnym, co znowu nie poprawi jego frekwencji i znowu wywoła niezadowolenie.

Niewątpliwie samo życie przyniesie w tych sprawach korekturę przedwczesnych pretensyj: Teatr Narodowy będzie musiał wrócić do repertuaru teatru Rozmaitości, t.j. nie uchylać się od grywania sztuk współczesnego repertuaru cudzoziemskiego. Tylko tą drogą odzyska nazwę „pierwszej sceny polskiej".

* * *

Uchwała Magistratu warszawskiego, co do zamknięcia teatrów Bogusławskiego i Letniego uległa w ostatniej chwili częściowej zmianie. Komisja finansowo - budżetowa Rady Miejskiej postanowiła mianowicie, ażeby teatr Letni prowadzić nadal, o ile budżet jego pomieści się w 2,500,000 zł. deficytu uchwalonego dla teatru Narodowego i Opery. Natomiast teatru Bogusławskiego miasto na swój rachunek prowadzić nie będzie. Istnieje projekt oddania tego teatru w dzierżawę.

Alfa.

Rozmaitości

Pleśń — źródło zarazków

Niezmiernie ważnego odkrycia dokonał świeżo profesor muzeum historji naturalnej w Paryżu, Tissot. Badając kultury bakterji, doszedł on do zamiany ich w pleśni i otrzymał pleśń z bakteryj tyfusu, cholery, dyfterytu, dżumy, gruźlicy, febry maltańskiej i t. d. Badając potem pleśni tkanek wielu organizmów zwierzęcych i roślinnyh, znalazł, że pleśni te są identyczne z pleśniami, otrzymanemi z poszczególnych bakteryj. Tak, np. pleśń bakteryj gorączki tyfoidalnej jest identyczna z pleśnią kukurydzy, pleśń bakteryj febry maltańskiej — z pleśnią pomarańczy, pleśń bakteryj cholery — z pleśnią pewnego gatunku grzybów trujących i t. d.

Stąd wniosek: źródłem zarazków są pleśni z organizmów zwierzęcych i roślinnych.

Prof. Tissot znalazł nawet źródło chorób, których zarazki były jeszcze nieznane. Mianowicie: zarazkiem odry jest według niego pleśń organiczna sałaty, zarazkiem szkarlatyny — pleśń organiczna marchwi, zarazkiem tyfusu wysypkowego — pleśń owsa, zarazkiem ospy — pleśń ziemniaków, ospy wietrznej — pleśń pomidora.

Również tą drogą badania odkryte zostały źródła pierwotne innych chorób, których zarazki były znane niedokładnie: źródłem kiły okazała się pleśń tkanek pewnego gatunku małp, źródłem febry błotnej — pleśń ryżu, źródłem dyfterytu — pleśń jęczmienia i t. d.

Pleśń najstraszniejszych dzisiejszych wrogów ludzkości: raka i gruźlicy, prof. Tissot otrzymał bezpośrednio z kultury zdrowych tkanek ludzkich. Wniosek stąd, że choroby te wytwarzają się spontanicznie u człowieka, chociaż zarazki ich mogą się przenosić z organizmu na organizm.

Zjadając pleśń, znajdującą się na płodach ziemi, możemy się zarazić i wyhodować w sobie odpowiednie tym pleśniom bakterje. Ulewa, naprzykład, która spłucze pleśń z grzyba trującego i przeniesie ją do studni, może zarazić ją, a my, pijąc tę wodę, możemy dostać cholery. Należy unikać pleśni na ziemniakach, nie dawać dzieciom przetworów jęczmiennych, nie słać słomy jęczmiennej krowom w oborach, by nie zarażać ich mleka pleśnią dyfterytową, słowem, strzec się bacznie a bacznie. Pewien żartowniś powiedział nawet, że najlepszym środkiem zabezpieczenia się od pleśni chorobotwórczych jest — przestać jeść zupełnie. (Inteligencja nasza już dochodzi do tego!).

Odkrycie prof. Tissot'a może istotnie zrobić przewrót w dotychczasowej bakterjologji, choć wnioski ogólne z tego doniosłego odkrycia zdają się nie mieć jeszcze podstaw ugruntowanych. Identyczność pleśni bakteryj chorobotwórczych człowieka i pleśni organicznych (roślinnych, czy innych) nie dowodzi, by te ostatnie były jedynem źródłem zarazków człowieka. Jeżeli pleśń raka i gruźlicy otrzymał dr. Tissot ze zdrowej tkanki ludzkiej, czyli uznał spontaniczność powstawania bakteryj tych chorób, to kto wie, czy dalsze i subtelniejsze badania nie doprowadzą do uznania spontaniczności powstawania bakteryj wszystkich innych chorób z uprzedniej pleśni, wyhodowywanej może przez nieprawidłowości czuciowego i myślowego organizmu człowieka... Medycyna dzisiejsza wkracza już dziś powoli w dziedzinę duchową człowieka, by ustanowić w przyszłości związek i zależność zupełną dwóch tych organizmów jednego życia ludzkiego.

Dr. Jod.

Olbrzymia pielgrzymka

Amerykanie lubią wszelkiego rodzaju rekordy. Takim rekordem co do ilości będzie pielgrzymka tych, którzy walczyli podczas ostatniej wojny we Francji. Wyjadą oni z Ameryki 1 września na 27 wielkich okrętach, w ilości 30,000 osób, by zwiedzić te miejsca, gdzie się bili i cierpieli razem z żołnierzami innych armij sprzymierzonych. Niektórzy, nim wsiądą na statek, będą musieli przebyć 20,000 kilometrów kolejami żelaznemi poprzez przestrzenie ogromne Ameryki .

Obliczono, że wyprawa ta wyniesie na każdego dawnego wojaka, przy dzisiejszym kursie franka, 15,000 franków.

Morza — coraz słońsze

Uczony amerykański, Burck, powiadamia świat, że wody mórz i oceanów słonieją coraz bardziej. I tak rozwiązuje to zjawisko:

Rzeki i ruczaje niosą ze sobą pewną ilość soli, którą się nasyciły w ziemiach, przez które przepływają. Wszystkie te sole docierają do mórz i tam się magazynują ostatecznie. Otóż, przez zjawisko parowania, słońce zamienia wodę w opary i deszcze, ale siła przyciągająca jest niedostateczna, by razem z wodą unieść i zawartą w niej sól. Woda, która przez deszcze i mgły, rozpościera się po powierzchni ziemi, wróci do morza z nowym zapasem soli. I tą drogą wyjaśnia się, że wody, w których króluje Neptun, słonieją coraz bardziej.

Obwieszczenie.

Magistrat m. Łodzi podaje niniejszem do wiadomości, że imienne listy płatników podatku przemysłowego za II półrocze 1925 r. nadesłane przez II, III i VI Urząd Skarbowy w Łodzi, wyłożone będą od dnia 10-go czerwca r. b. w myśl art. 8 ustawy o państwowym podatku przemysłowym z dnia 14. V. 1923 r. (Dz. U. R. P. Nr. 58, poz. 412) na przeciąg 4 tygodni w biurze Wydziału Podatkowego, Plac Wolności Nr. 2, pokój Nr. 5.

Osoby zainteresowane mogą przeglądać wspomniane listy w powyżej podanym lokalu codziennie od godz. 10-ej do 12½.

Łódź, dnia 9 czerwca 1926 r.

Magistrat m. Łodzi

Prezydent:

(—) M. Cynarski.

Przewodniczący Wydziału Podatkowego:

(—) Kulamowicz.

Przymusowe licytacje.

Magistrat m. Łodzi — Wydział Podatkowy niniejszem podaje do publicznej wiadomości, że w dniu 16 **czerwca r. b.** między godz. 9-tą rano, a 4-tą po południu odbędą się przymusowe licytacje ruchomości u niżej wymienionych osób za niewpłacone podatki:

1. Aizner E., Zgierska 10, towary kolonjalne.
2. Agater, Cymera 9, meble.
3. Becher M., Wschodnia 31, garderoba.
4. Baumel L., Zgierska 30a, 1 szt. towaru.
5. Blumenfeld S., Nowomiejska 11, 50 szt. towaru.
6. Bursztyn B., Północna 13, kredens.
7. Borowski S. Z., Pomorska 19, meble.
8. Chmielnicki B., Zgierska 9, 80 paczek papierosów „Ergo", 40 paczek „Fervor".
9. Działoszyński H., Zgierska 21, otomana.
10. Flaumholc A., Zgierska 8, szafa.
11. Frydman N., St. Rynek 15, meble.
12. Frydman L., Wschodnia 22, pomocnik.
13. Feder D., Zgierska 4, meble.
14. Frydman Ch., Wolborska 12, 2 szafy.
15. Gerszonowicz A., Zgierska 9, szafa.
16. Goldberg I., Zgierska 18, kredens.
17. Goldberg D., Nowomiejska 22, meble.
18. Gecow S., Wschodnia 31, zegar, gramofon.
19. Gelbard J., Aleksandrowska 90, szafa.
20. Górniak F., Ks. Brzózki 53, szafa.
21. Gelbard D., Aleksandrowska 23, meble.
23. Góra M., Zgierska 8, 5 stolików.
24. Goldblum H., Pomorska 87, maszyna do szycia, meble.
25. Gerszt A., Północna 12, meble.
26. Hochsztajn M., Wólczańska 23, meble.
27. Herszkowicz J., Zachodnia 42, meble.
29. Jakubowicz I., Konstantynowska 59, meble.
30. Krakow Sz., Zgierska 18, meble.
31. Kramer K., Zgierska 21, kredens.
32. Kornman A., Zgierska 64, meble.
33. Kon M., Sienkiewicza 52, meble.
34. Karmazin J., Południowa 2, meble.
35. Kifer S., Wschodnia 31. urządzenie sklepu.
36. Kaczmarski J., Wschodnia 22, meble.
38. Kirszner A., Wolborska 5, kredens.
39. Lenkowski E., Zgierska 8, meble.
40. Lejzerowicz J., Zgierska 14, meble.
41. Libowicz Z., Zgierska 15, meble.
42. Lipszyc R., Wschodnia 29, meble.
43. Lipszyc B., Wschodnia 31, 2 szafy.
44. Liwszyc A., Zgierska 8, perfumy, mydła.
45. Librach J., Żeromskiego 4, tremo.
46. Łuszczanowski J., Piotrkowska 66, maszyna do szycia, szafa.
47. Mandelman, Zgierska 4, tytoń, papierosy.
48. Michałowicz A., Zachodnia 28, 10 waliz, 10 sakiewek.
49. Nojman I., Zgierska 21, artykuły spożywcze.
50. Nikodemski W., Franciszkańska 65, meble.
51. Nikodemski P., Piotrkowska 17, meble.
52. Pasmanik I. M., Franciszkańska 19, lustro, zegar.
53. Praszkier A., Nowomiejska 21, meble.
54. Piskorz Ch., Pomorska 57, maszyna do szycia, szafa, kredens.
55. Rozenblum R., Zgierska 3, 10 żelazek, do prasowania, 10 maszynek do mięsa.
56. Rozenbaum Ch., Zgierska 40, tremo.
57. Rotkop A., Aleksandrowska 59, szafa.
58. Rozencwajg B., Wschodnia 27, stół, maszyna do szycia.
59. Ryder A., Wschodnia 29, garderoba.
60. Wodziński R. A., Konstantynowska 5, pianino, maszyna do pisania.
61. Sochaczewski R., Zgierska 15, meble.
62. Słodkiewicz H., Zgierska 21, meble.
63. Senderowicz R., Zgierska 38, 2 bajce do mąki.
64. Szenwald F., Zgierska 40, tremo.
65. Strawczyński J., Zgierska 85, szafa.
66. Sztyft I., Nowomiejska 21, 2 koce.
67. Szenbach N., Nowomiejska 27, lodownia do piwa.
68. Szulman H., Wschodnia 27, meble.
70. Szerman O., Wolborska 10, meble.
71. Sztyller Z., Wschodnia 44, meble.
72. Sacharow E., Pomorska 4, kredens.
73. Sztajnhauer Sz., St. Rynek 6, meble.
74. Szwarcberg M., Zawadzka 10, tremo.
75. Szwarcberg A., St. Rynek 6, 2 szafy, gramofon.
76. Tendowski Sz., Nowomiejska 21, 4 krzesła.
77. Teich A., Drewnowska 9, meble.
79. Tenenbaum M., Wolborska 21, kredens.
80. Wigdorczyk M., Zgierska 16, kredens.
81. Wajsberg H., Zgierska 40, urządzenie piwiarni.
82. Wajsfeld M., Zgierska 30a, meble.
83. Wolf J., Zgierska 54, kredens.
84. Wajnfeld I., Aleksandrowska 78, meble.
85. Widawski A., Nowomiejska 19, meble.
87. Wolf S., Nowomiejska 21, meble.
89. Wajs H., Pomorska 17, meble.
91. Zylberberg A., Zgierska 9, urządzenie sklepu.
92. Zyzck S., Zgierska 10, zegar.
93. Zylberberg A., Zgierska 9, meble.
94. Zajda P., Nowomiejska 19, 2 szt. towaru.
95. Zudkowski i Buchman, Żeromskiego 45, 3 sztuki materjału.

W dniu 17 czerwca między godz. 9-tą rano, a 5-tą po południu.

1. Aienberg M., Wschodnia 55, kredens, zegar.
2. Afterblum L., Zachodnia 63, kredens.
3. Adler H., Cegielniana 39, kredens.
4. Bacharjer H., Wschodnia 33, meble.
5. Borensztajn A., Wschodnia 34, kredens.
6. Berkenwald Ch., Wschodnia 34, zegar.
7. Blandet A., Wschodnia 40, szafa.
8. Brzoza I., Wschodnia 45, pomocnik.
9. Budzyner M., Wschodnia 45, kredens.
10. Białogórski L., Wschodnia 51, meble.
11. Berlin E., Wschodnia 55, meble.
12. Białek I., Zielona 33, maszyna do szycia.
13. Berger B., Piramowicza 8, biurko, meble.
14. Brener B., Południowa 20, pianino.
15. Besterman A., Narutowicza 47, otomana.
16. Brodacz M., Sienkiewicza 37, meble.
17. Cederbaum H., Wschodnia 65, meble.
18. Chwat H., Wschodnia 72, 1 szt. materjału.
19. Cyller M., Zielona 17, meble.
20. Dangielewicz H., Cegielniana 2, kanapa.
21. Engler S., Narutowicza 20, maszyna do pisania.
22. Edelman R., Zawadzka 29, 2 szafy.
23. Engelman Ch., Przejazd 38, kredens.
24. Feldman K., Wschodnia 35, szafa.
25. Fajnman F., Wschodnia 45, kredens.
26. Ferster J., Wschodnia 57, meble.
27. Fogelfrajnd S., Wschodnia 68, tremo.
28. Ferster E., Wschodnia 74, tremo.
29. Fenster B., Zielona 33, garderoba.
30. Frajer D., Zielona 41, tremo.
31. Feldman N., Zawadzka 29, tremo.
32. Fuks H., Zawadzka 23, tremo.
33. Furmański J., Wólczańska 69, meble.
34. Grynberg J., Wschodnia 45, tremo.
35. Grabowicki R., Wschodnia 51, meble.
36. Gothelf H., Wschodnia 56, meble.
37. Grynszpan B., Wschodnia 55, tremo.
38. Grylak Ch., Wschodnia 62, szafa.
39. Goldminc J., Zgierska 17, meble.
40. Gocial J., Zgierska 28, 2 szafy.
41. Gros I., Zielona 5-7, kredens.
42. Gonbiński M., Zielona 33, kredens.
43. Gryneszpan A., Zawadzka 38, zegar.
44. Gasfrajd J., Wólczańska 2, stół.
45. Goldlust H., Cegielniana 6, meble.
46. Grawe H., 6-go Sierpnia 1, zegar.
47. Glasman M., Zawadzka 30, tremo.
48. Górecki B., Karola 6, maszyna do pisania, kasa ogniotrwała, 3 fotele, prasa do kopjowania.
50. Hofman R., Wschodnia 51, 15 tuz. pończoch.
51. Hercberg A., Zawadzka 29, 50 kg. cukru.
52. Horowicz M., 6-go Sierpnia 30, meble.
53. Kimelman I., Wschodnia 37, garderoba.
54. Kotlicki A., Wschodnia 55, zegar.
55. Kasz B., Wschodnia 57, szafa.
56. Kałmowicz A., Wschodnia 66, szafa.
57. Kolnicki D., Wschodnia 72, meble.
58. Krauskopf M., Wschodnia 72, 30 kg. cukru, szafa.
59. Kassman F., Zielona 6, 30 kg. mąki, waga, kredens.
60. Kasiński K., Zielona 19, maszyna do szycia.
61. Kenig U., Zielona 42, maszyna do szycia, szafa.
63. Kurc G., Cegielniana 44, zegar, meble.
64. Kolski Z., Zawadzka 29, zegar.
65. Kapłan Ch., Zawadzka 33, tremo.
66. Koplewicz F., Zawadzka 33, tremo.
67. Komiński M., Sienkiewicza 40, meble.
68. Lewin Ch., Wschodnia 45, tremo, zegar.
69. Lewenberg S., Wschodnia 62, 2 szafy.
70. Liśniewski N., Wschodnia 69, otomana.
71. Laudon S., Wschodnia 69, kredens.
72. Lejzerowicz J., Zawadzka 33, tremo.
73. Librach P., Narutowicza 6., kredens.
74. Lipska Ł., Kilińskiego 43, zegar.
76. Lipiński Z., Wólczańska 85, waga, 2 kapy, lustro.
77. Łuczyński A,. Wschodnia 51, 2 szafy.
78. Meisler M., Wschodnia 43, lustro.
79. Muszyński B., Zgierska 26, maszyna do szycia.
80. Moskiewicz L., Zielona 28, kredens.
81. Mundlak J., Zielona 34, 45 kg. mąki.
82. Makowski J., Nawrot 99, meble, zegar.
83. Mihle E., Leszno 3, 2 biurka.
84. Mihle O., Przejazd 20, meble.
85. Neuhaus W., Wschodnia 51, meble.
86. Oberman R., Wschodnia 74, pianino.
87. Pinkus A., Kilińskiego 78, meble.
88. Rozen R., Wschodnia 34, 10 swetrów.
89. Rywkind B., Wschodnia 45, lustro.
90. Rozenberg M., Wschodnia 45, meble.
91. Rokman D. i S., Wschodnia 55, 12 par pantofli damskich, 10 par pantofli giemzowych.
92. Rogowski J., Wschodnia 68, szafa.
93. Rozenblum L., Wschodnia 69, 50 litrów wódki.
94. Rotberg S., Wschodnia 74, zegar.
95. Rymski S., Wschodnia 74, kredens.
96. Renski S., Wschodnia 74, kredens, szafa.
97. Reis B., Zgierska 28, 120 szt. talerzy.
98. „Rekord", firma, Zawadzka 20, meble, waga.
99. Rewizorski J., Zawadzka 29, maszyna do szycia.
100. Sawicki, Wschodnia 35, maszyna do szycia, garderoba.
101. Silbersztajn B., Wschodnia 35, zegar, meble.
102. Szymanowicz D., Wschodnia 45, meble.
103. Szutman M., Wschodnia 64, szafa.
104. Samsonowicz S., Wschodnia 69, tremo.
105. Stow. Kupców Branży Obuwia, Wschodnia 70, 2 biurka.
106. Szwarc A., Wschodnia 72, tremo.
107. Stow. Handl. Owocami, Zgierska 28, biurko, 8 krzeseł.
108. Szypper M., Zielona 17, kredens.
109. Sztajnhauer H., Zawadzka 29, tremo.
110. Szwarcbok I., Zawadzka 29, kredens.
111. Szwarcbaum I., Zawadzka 33, tremo.
112. Strzyżewski S., Cegielniana 39, stolik, bufet, 10 krzeseł.
113. Szweikert O., Wólczańska 211, meble.
114. Sztencel R., Wólczańska 74, meble.
115. Sztern N., Kilińskiego 60, meble.
116. Tepler P., Wschodnia 74, kredens.
117. Tisz J., Zielona 6, zegar.
118. Weksler S., Wschodnia 55, meble.
119. Wajdmajer O., Wschodnia 59, meble, maszyna do szycia.
120. Wolczyńska G., Zielona 28, mydło, perfumy, puder.
121. Wajsman A., Piotrkowska 56, 6 szt. materjału.
122. Zysman I., Zielona 23, kredens.

W dniu 18 czerwca r. b. między godz. 9-tą rano, a 4-tą po południu.

1. Baruch A., Sienkiewicza 52, meble.
2. Birencwajg I., Piotrkowska 275, meble.
3. Blank L., Kilińskiego 86, kredens.
4. Dymantman N., Rokicińska 33, kredens.
5. Drajhorn H., Główna 61, meble.
6. Fiszer F., Piotrkowska 143, meble.
7. Ginsberg M., Targowa 31, meble.
8. Gordon R., Piotrkowska 121, otomana.
9. Kron F., Piotrkowska 269, szafa.
10. Kinstler N., Piotrkowska 275, kanapa.
11. Kalmanowicz Ch., Nawrot 34, meble, maszyna do szycia.
12. Lajman R., Piotrkowska 192, biurko.
13. Moszkowska A., Piotrkowska 117, meble.
14. Radwański R., Piotrkowska 99, kozetka.
15. Rozental I., Kilińskiego 86, zegar.
16. Szaniawski T., Piotrkowska 136, pianino.
17. Tusk H., Piotrkowska 275, meble.
18. Widawski, Ewangelicka 7, meble, maszyna do szycia.
19. Zylberberg N., Sienkiewicza 74, tremo.
20. Zandberg J., Piotrkowska 115, meble.

Ogłoszenie.

IV. Urząd Skarbowy Podatków i Opłat Skarbowych w Łodzi, podaje niniejszem do ogólnej wiadomości, że na pokrycie zaległych podatków skarbowych, odbędą się publiczne licytacje w dn. **16 czerwca 1926 r.** między godz. 10 rano a 4 popoł. ruchomości zajętych u niżej wyszczególnionych dłużników:

1. Ankerman R., Pl. Wolności 11: 300 butelek wódki.
2. Abowicz Dawid, Nowomiejska 3: manufaktura.
3. Bornsztajn Szlama, Pomorska 20: 60 paczek wełny.
4. Bauman Dawid, Pomorska 14: 300 butelek wódki.
5. Bułka Szlama, Nowomiejska 21: 400 sztuk koronek.
6. Cender Moszek, Nowomiejska 27: 200 metrów „frotte".
7. Dudelczyk Moszek, St. Rynek 15: wyroby żelazne.
8. Frydman Josek, Północna 14: meble, maszyna i kasa ogniotrwała.
9. Falke Izrael, Północna 4: 3000 koszul trykotowych.
10. Fajwlowicz Lewi, Nowomiejska 3: 30 palt męskich.
11. Feldman Mendel, Nowomiejska 5: 650 kg. skóry.
12. Grynsztajn Józef, Północna 5: 330 chustek.
13. Guter Symcha, Północna 6: wódka i koniak.
14. Grynbaum Szer, Nowomiejska 21: 200 sztuk towaru białego.
15. Hendeles Hersz, Nowomiejska 13: 500 gros guzików.
16. Jarnicki Władysław, Pomorska 14: 10 stolików żelaznych, maszyna do szycia, cukierki i czekolada.
17. Rotenberg Izak, Nowomiejska 21: 100 kołder pluszowych.
18. Kraft Karol, Zgierska 29: 500 butelek wódek i likierów.
19. Koprowski i Ruszecki, Nowomiejska 1: 3 kołnierze damskie, 6 skórek, oposy i 20 skórek z królików.
20. Korn Dawid, Nowomiejska 5: pończochy, skarpetki, rękawiczki, 25 gr. guzików.
21. Kuperminc Abram, Kościelna 1: towary kolonjalne.
22. Kapłan Hersz, Wschodnia 27: 8 sztuk weluru i meble.
23. Lastman Moszek, Pomorska 52: 7 worków mąki.
24. Lewi Ita, Nowomiejska 21: firanki, koszule i zefiry.
25. Lange Oskar, Zgierska 105: meble i 2 bufety.
26. Lange Oskar, Zgierska 105: meble i 2 bufety.
27. Lewkowicz W., Wesoła 4: meble.
28. Wadel Mordka, Nowomiejska 27: 300 metrów kortu.
29. Posmanik M., Franciszkańska 19: meble i maszyna.
30. Pacałowski Wacław, Zgierska 57: meble.
31. Salomon Lajzer, Kościelna 4: 150 worków mąki.
32. Sztraus Edward, Pomorska 80: wędliny.
33. Wieluński Uszer, Nowomiejska 21: 300 sztuk płótna.
34. Zarzewski Izr., Pomorska 42: 100 kilo sznurowadeł.

Dnia 18-go czerwca r. b.

1. Altman Icek, Północna 5: pończochy.
2. Ajzenberg Sz. A., Pańska 15: meble
3. Babjacka Ita Sz., Brzezińska 31: mąka i meble.
4. Cytryn Sowie L. M., Brzezińska 50: tekstr.
5. Cukierman Abram, Konstantynowska 30 pianino i meble.
6. Cukierman Hinda Ruchla, Zgierska 5: 20 worków cukru.
7. Flamang T., Brzezińska 100: mąka, maszyna do szycia, meble.
8. Habergryc J. M., Konstantynowska 19: meble.
9. Hofman Karol, Brzezińska 78: mąka i meble.
10. Hiller Berek, Zgierska 3: wyr. żelazne.
11. Iwankowicer Ch. Abr., Kościelna 6: towary kolonjalne.
12. Jachimowicz F., Łagiewnicka 11: deski.
13. Kolba Zelman, Łagiewnicka 16: meble.
14. Klajner Lipman, Północna 21: naczynia emaljowane.
15. Kirsztajn Moszek, Północna 5: tkanina bawełniana.
16. Kotlicki Roman, Zgierska 111: meble.
17. Litman B. i Syn, Północna 29: pończochy
18. Libich Karol, Brzezińska 62: maszyna do szycia i meble.
19. Lange Oskar, Zgierska 105: meble.
20. Rajwiczer Szulim, Pomorska 6: tkanina bawełniana.
21. Rakowski B., Pomorska 6: meble.
22. Rozner H. i A., Franciszkańska 16: deski
23. Rozenblum Sz., Pomorska 4: tkanina bawełniana.
24. Sedner Aron, St. Rynek 13: mąka.
25. Sztender Sz., Pomorska 4, 80 płaszczy damskich.
26. Szmaragd J. M., Południowa 16: pianono i meble.
27. Szulmajster G. i Rasz Ch., Północna 5: tkanina bawełniana.
28. Standicki Józef, Brzezińska 82: 500 różnych wódek.
30. Skemski Juljan, Brzezińska 65: meble.
31. Szpiro Natan, Nowomiejska 19: tkanina bawełniana.
32. Tatarczyk U., Północna 19: mąka i dwie szafy.
33. Urbański J., Brzezińska 70: maszyna do szycia i meble.
34. Wenske L., Brzezińska 110: mąka.
35. Wajnberg Ch. M., Północna 5: tkanina bawełniana.
36. Zycer Chaim, Nowomiejska 31: tkanina bawełniana.
37. Żytnicki M., Południowa 29: pianino i meble.
38. Zandman M., Brzezińska: śledzie, mydło i meble.

Zajęte ruchomości są do obejrzenia w dniu sprzedaży u wymienionych dłużników na miejscu licytacyj.

Naczelnik Urzędu: A. JASIŃSKI.

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. | Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Ogłoszenia w tekście 40 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.*

Odbito w Drukarni Państwowej, Piotrkowska 85